Nr. 160. Lwów. — Piątek dnia 13 lipca. **Rok 1888.**

PRZEGLĄD

polityczny, społeczny i literacki.

Wychodzi codziennie z wyjątkiem dni poświątecznych.

Cena prenumeraty:

We Lwowie bez dostawy:		Na prowincji z przesyłką pocztową:	
Miesięcznie	zł. 75 ct.	Miesięcznie	1 zł
Kwartalnie	2 „ 25 „	Kwartalnie	3 „
Półrocznie	4 „ 50 „	Półrocznie	6 „
Rocznie	9 „ — „	Rocznie	12 „

Za dostawę do domu miesięcznie 25 ct.

Numer kosztuje 4 centy.

Prenumeratę z dostawą do domu we Lwowie należy składać w Biurze Dzienników, ul. Karola Ludwika Nr. 9.

Prenumerata tak miejscowa jak i zamiejscowa winna się kończyć z końcem miesiąca, kwartału, półrocza lub roku. Inaczej się nie przyjmuje.

Z zamiejscową prenumeratą zgłaszać się należy do Administracji „PRZEGLĄDU" we Lwowie, przy ul. Sykstuskiej l. 45. Zmiana zamiejscowej prenumeraty na miejscową i odwrotnie jest z dopłatą.

Upraszamy się prenumeratę przysyłać przekazami pocztowemi, a nie w kopertach pocztowych. Osoby przysyłające pieniądze w kopertach razem dopłacać po 5 ct. do każdego listu.

Miejscową prenum. we Lwowie przyjmują Trafika J. Ważnego, przy ulicy Czarnieckiego liczba 2. — Trafika przy ulicy Karola Ludwika liczba 5. — Trafika przy ul. Ossolinskich (obok Łazienek Diany) — Biuro Dzienników, przy ul. Karola Ludwika liczba 9.

Rękopismów Redakcja nie zwraca.

Dziś: Małgorzaty P. Jutro: Bonawentury. | Adres Redakcji i Administracji Ulica Sykstuska l. 45. | Naczelny Redaktor i Wydawca: **Ludwik Masłowski.** | Wschód słońca g. 4 m. 8·0, Zachód „ 8 „ 3·0 | Długość dnia g. 15 m. 55·0, Ubyło dnia 2·0 min.

Przegląd polityczny.

Dzisiejsze wiadomości o rozwodowej sprawie serbskiej pary królewskiej są bardzo sprzeczne. Doniesienia z Wiesbadenu opiewają, że Natalja zdecydowała się wytrwać w oporze do ostateczności, aktu rozwodowego nie przyjąć, a syna oddać chyba w takim razie, jeśli zgłosi się pod miejscową policję. Natomiast z Belgradu donoszą, że jenerałowi Proticzowi udało się nareszcie otrzymać audjencję u królowej, którą on znalazł skłonną do ustępstw i starał się ją przekonać, że jedyną dla niej drogą jest kompromis. *Pester Lloyd*, mający dobre w Belgradzie stosunki, utrzymuje, że Natalja straciła nadzieję na interwencję „pewnej potęgi", ujrzała się zawiedzioną i teraz tylko pragnie, aby sprawa była załatwiona z uwzględnieniem jej praw królewskich i matczynych. Milan zaś nie cofa swych pierwotnych przyrzeczeń, ofiaruje tylko separację, opartą na polubnym układzie, o którego warunkach mówiliśmy wczoraj, i trwa nieugięcie jeno przy żądaniu, aby królowa nigdy nie przyjeżdżała do Serbji. Poseł serbski przy wiedeńskim dworze wyjeżdża podobno na bawarską granicę dla powitania ks. Aleksandra, mającego wkrótce wyruszyć do Belgradu z jenerałem Proticzem.

Królowa Natalja postąpiła bardzo niewłaściwie, wołając rzeczywiście prasę na sąd w swej sprawie. Redakcji *Pall Mall-Gazette* udzieliła ona całą swą telegraficzną korespondencję z prezesem gabinetu serbskiego i z metropolitami. Mniemała zapewno, że w ten sposób pozyska dla siebie opinję publiczną w Europie, lecz nie spostrzegła się w rozdrażnieniu, iż takie odsłanianie rodzinnych tajemnic delikatnej natury musi źle sprawić wrażenie i że w świetle tej korespondencji osoba jej bynajmniej nie przedstawia się sympatycznie. Gorzkiego zawodu doznała od „pewnej potęgi", która umyła ręce i zamilkła, ujrzawszy, że przy rozwodowym ogniu nie upiecze swej pieczeni. Jedyną pociechą dla Natalji jest współczucie, okazywane jej przez rosyjską prasę, ale i to współczucie satysfakcji moralnej dać jej nie może. Petersburskie dzienniki śpiewają swą starą a bezmyślną piosnkę o jakiejś „intrydze austrjackiej", oskarżają Wiedeń o zachęcenie Milana do podniesienia rozwodowej sprawy, ale doradzają Natalji ustąpić, bo innego wyjścia nie ma.

Parlament królestwa holenderskiego zwołano na 16 lipca dla załatwienia wypracowanego przez rząd projektu opieki tronowej. Donosiliśmy już nieraz, że kwestja następstwa na tronie jest dla Holandji bardzo żywotną. Król jej Wilhelm, ostatni przedstawiciel domu Orańskiego, człowiek stary i niedawno schorzały, ma tylko jedną córkę, księżniczkę Wilhelminę, mającą lat ośm czy dziewięć. W Holandji niewiasta może panować, jeśli jest pełnoletnią, ale w W. księstwie Luxemburskiem na tronie może zasiadać tylko mężczyzna. Powstało tedy niebezpieczeństwo oddzielenia się Luxemburga od Holandji po śmierci Wilhelma. Na dziedzictwo luxemburskie pożądliwym wzrokiem zdawna patrzą Niemcy, a Holandją chciałaby Belgja napowrót przyłączyć do siebie, znosząc w ten sposób to, co zrobiła rewolucja w r. 1830. Holendrzy niechętnie patrzali zarówno na niemieckie, jak na francuskie zachcianki i dla tego na wiosennej sesji parlamentu zmienili konstytucją w ten sposób, iż księżniczka Wilhelmina będzie mogła zająć oba trony. Rychło potem zdrowie króla bardzo się pogorszyło; dziś życie jego liczą już tylko na miesiące. Stało się tedy koniecznością uzupełnić wiosenną uchwałę parlamentu dodatkiem o radzie opiekuńczej. Projekt rządowy stawia na czele tej rady królowę Emmę i dodaje jej kilku znakomitych Holendrów, niewymienionych w projekcie. Parlament, jeśli przyjmie propozycją rządową co ma być rzeczą pewną, zamianuje także członków owej rady. Uchwała zapadnie podobno na jednem posiedzeniu, potem akceptuje ją senat, a król natychmiast da sankcją, poczem nastąpi publikacja tej zmiany w konstytucji. Sam niezwykły pośpiech, z jakim ministerjum holenderskie stara się załatwić tę sprawę, wskazuje na niebezpieczeństwo zagrażające życiu króla Wilhelma III. Nadzieje niemieckie i belgijskie doznają zawodu.

Ostatnie głosowanie francuzkiej izby deputowanych nad wnioskiem Flourensa, wyrażającym uznanie gabinetowi za przeniesienie sędziego karkassońskiego, odsłoniło bardzo niewłaściwy zwyczaj praktykowany w parlamencie paryzkim. Po obliczeniu kartek rzucanych do urny okazało się, że za rządem głosowało 326 deputowanych. Opozycji wydało się to nieprawdopodobnem, zażądała kontroli, którą też natychmiast zrobiono, a wówczas się okazało, że 59 deputowanych rzuciło po dwie kartki. Zapytano przewodniczącego jakim sposobem to się stało, a ten w rozdrażnieniu odpart: „Izba przecież wie, że stało się to zwyczajem rzucać do urny nietylko po dwie, ale po kilka kartek dla pozyskania większości. Muszę jednak dodać, że — o ile mogłem zaobserwować — robi się tak tylko w ważnych wypadkach."

Jest to niezrównana łagodząca okoliczność: deputowani szachrują tylko wtedy, gdy potrzebują. Do szachrajstwa dla szachrajstwa popędu nie mają. Jakże się muszą w grobie przewracać twórcy teraźniejszego parlamentaryzmu! Już samo głosowanie jest — ściśle biorąc — nonsensem, bo głos rozumnego i doświadczonego znawcy spraw państwowych i społecznych redukuje się do wartości głosu żółtodzióba; myśl głębokiego umysłu idzie w jednym szeregu z pospolitą sieczką. Ale deputowanym francuzkim za mało tej demokracji, oni pragną zapewnić stałe panowanie sieczki i dla tego konsekwentnie szachrują. Nie można lepiej pracować nad obaleniem parlamentaryzmu.

Jedyny przedstawiciel warstwy robotniczej w angielskiej izbie gmin, zdun Fenwick zażądał takiej zmiany konstytucji, aby deputowanym wypłacano pensje (dyety poselskie) bo niepłatne wykonywanie obowiązków poselskich nie pozwala robotnikom brać udziału w obradach parlamentarnych. „A po co tu oni?" — krzyknął jakiś głos i wnet umilkł zażenowany, bo dziś nie w modzie mówić prawdę robotnikom. Żyjemy przecież w czasach panowania dziwnego pomięszania pojęć. Szewc porzuca dratwę, krawiec igłę i obaj idą decydować o sprawach państwowych, najzawikłańszych ze wszystkich, jakie istnieją. Że to bardzo źle, widać ze skutków, ale występować przeciw temu nie uchodzi, jest niepopularnie. Więc też rzecznik rządu, sir Smith zaprotestował przeciw żądaniu p. Fenwicka tylko dla tego, że kasa państwowa nie może ponosić wydatków na dyety. Wszakże one kiedyś istniały, wypłacały je swym deputowanym okręgi wyborcze, lecz potem, nie mogąc ponosić tego ciężaru, niektore okręgi przestały wybierać deputowanych. Wypadło więc uchylić tę niewłaściwość przez zniesienie dyet. Czyżby dziś miały one wrócić? — „Nie!" — odrzekła izba, odrzuciwszy wniosek p. Fenwicka 192-ma głosami przeciw 135 ciu.

W południowo-afrykańskim kraju Zulusów znów wybuchło powstanie, o czem już lakonicznie doniósł telegram. Cała angielska załoga wynosi tam: 300 jeźdźców lekkich, 120 dragonów, 440 żołnierzy piechoty, 2 działa i 2 mitraljezy, a obszar tej angielskiej kolonji jest większy od Galicji. Cóż tedy dziwnego, że Dinizulu, wódz Zulusów, w pierwszej potyczce na głowę rozbił angielskie wojska i od razu opanował większą część kraju. Gubernator kolonji, sir Havelock zażądał posiłków, których w całej południowo-afrykańskiej ziemi Anglików znalazło się tylko tyle, że można było wysłać przeciw Zulusom 700 żołnierzy piechoty, 160 ochotników z plemienia Zulusów i 150 kawalerzystów murzyńskich z plemienia Basutów. W Anglji podniesiono ogromny krzyk na ministerjum wojny, lecz cóż ono winno? Skoro tylko przyjdzie na stół kwestja powiększenia armji, wnet cały naród powstaje przeciw temu.

Z Bułgarji donoszą o usiłowaniach Stambułowa w celu pogodzenia się z cankowistami, którymi on zamierza zastąpić w gabinecie członków stronnictwa konserwatywnego. Dzienniki Stambułowa wychwalają tę kombinację. Ich zdaniem, cankowiści, jako liberałowie, o wiele pożyteczniejsi będą ojczyźnie od konserwatystów Naczewicza i Stoiłowa. Wprowadzić do rządu Cankowa, to próba bardzo odważna!

Korespondencje.

Paryż 5 lipca.

Termin wystawy powszechnej w Paryżu zbliża się szybkiemi krokami, a im bardziej się zbliża, tem bardziej świat zaczyna się zajmować osobistością pana René Gobleta, ministra spraw zewnętrznych, który przy sposobności tej wystawy, ze względu na stosunki międzynarodowe i dyplomatyczne na pierwszym planie figurować będzie.

P. René Goblet, pikardyjczyk, jest rodem z Amienu. Miasto to, jak z historji wiadomo, jest słynnem z tego, że wydało Piotra z Amienu, propagatora wielkich wypraw krzyżowych. P. Goblet ma także krew gorącą i zapał; w Paryżu nazywają go nawet *„un rageur"* (wściekły) — a ludzie tego koloru nie daleko zachodzą na gładkich i śliskich parkietach dyplomacji.

Kolebka jego politycznej karjery nie była wcale przy Quai d'Orsay, skąd się wywodzą zwykle wszystkie polityczne znakomitości Francji. Przed dwudziestu laty nie śniło się nawet panu Gobletowi, że kiedyś zrobi tak świetną karjerę i byłby niezawodnie pierwszym, któryby kazał zamknąć do celi warjatów tego, ktoby mu w r. 1868 był powiedział: za dwadzieścia lat będziesz ministrem spraw zewnętrznych w rzeczypospolitej francuskiej.

Jeszcze w r. 1869 był on niepokaźnym adwokatem w swem rodzinnem mieście Amiens. Klientela jego była skromna. Wystarczała zaledwie na przyzwoite utrzymanie, jakkolwiek prowincjonalne dzienniki podnosiły go pod niebiosa jak drugiego Cicerona, jeśli w jakim znaczniejszym procesie przemawiał z ławy obrońców karnych. Do polityki mięszał się p. Goblet o tyle tylko, że darł koty z prefektem i nie służył jak inni osobą swoją do „uświetnienia" urzędowych balów i przyjęć w prefekturze. Lokalna popularność, którą zyskał jako obrońca karny wystarczyła, ażeby każdym razem, ile kroć zbliżał się termin nowych wyborów, rozmaite deputacje wyborców ofiarowywały mu mandat. Atoli w obec presji, jaką rząd ówczesny wywierał na procedurę wyborczą, przyjęcie kandydatury mogło kandydata opozycji prowadzić tylko do bardzo zaszczytnego ale stanowczego upadku. P. Goblet wiedząc o tem występował w roli kandydata; porażki nie zrażały go bynajmniej, gdyż z czasem klęski te złożyły się na polityczny kapitał zakładowy, który w parę lat mógł lichwiarskie przynieść procenta.

Wiadomo z jaką małpią zwinnością dokonał się zwrot opinji we Francji po katastrofie sedańskiej. Siedm miljonów ludzi, którzy w maju roku 1870 głosowali z zapałem za cesarzem i „wspaniałym" porządkiem rzeczy, w lutym roku następnego odwrócili się z gniewem od bonapartystów, a pod niebiosa poczęli wynosić tych wszystkich, którzy w jakikolwiek sposób wykrzykiwali na rząd dawniejszy. W pierwszej linji tych krzykaczy byli oczywiście „przepadli" kandydaci — i w ten sposób p. Goblet, jak wielu innych jemu podobnych, wszedł jako deputowany do Zgromadzenia narodowego.

W Wersalu należał on przez jakiś czas do tych, którzy mandat swój bez hałasu, ale z pełnem poczuciem obowiązku spełniali. Amiens było zawsze dumne ze swego posła. Jego sprawozdania komisyjne w izbie, jego ścisłe fachowe jurydyczne mowy, na które w Paryżu nikt nie zwracał uwagi, podnoszono w Amiens jako fakta nadzwyczajnej doniosłości, niemal jako czyny bohaterskie. „Wszystkowiedzy" w Amiens zaczęli mówić o ogromnej przyszłości swego deputowanego, a zręczniejsi zaczęli nawet zbliżać się do niego. I przyszedł wielki moment dla małego adwokata z Amiens. Upadek cesarstwa zrobił go deputowanym; upadek Gambetty zrobił pilnego posła ministrem.

Do składu koalicyjnego gabinetu stronnictw złożonego przez Freycineta po upadku „wielkiego (Gambettowskiego) ministerjum" (26 stycznia 1882) wstąpił Goblet jako minister spraw wewnętrznych. Podczas krótkiego swego urzędowania przyprowadzał on do wściekłości gambetystów (późniejszych oportunistów), niszcząc doszczętnie wszystko, co zrobił poprzednik jego p. Waldeck-Rousseau. Rousseau był wiernym zasadzie jakobińskiej i pragnął zrobić prefekta nieograniczonym panem departamentu. Szło mu mianowicie o to, ażeby złamać wszelki wpływ deputowanych na administrację, a w szczególności na mianowania urzędników. Pan Goblet przeciwnie, przyznał swoim kolegom w izbie jak największy wpływ, a polityczni wrogowie jego robili mu z tego powodu zarzut, iż uczynił prefekta najniższym sługą byle jakiego deputowanego.

Nadto pozwolił pan Goblet radom departamentalnym złożonym przeważnie z rojalistów odgrywać rolę o wiele większą aniżeli grały dotąd i aniżeli to nowojakobinom przypadało do smaku. Obrzucali też Gobleta najwyszukańszemi wymysłami, a dziennik *République française* rozwijał genjalną złośliwość, gdy nazwisko pana Gobleta wpadło pod pióro jego redaktorów. I po ustąpieniu p. Gobleta z gabinetu nie dano małemu adwokatowi spokoju; zawsze, ilekroć następca jego (ten sam Waldeck-Rousseau) chwycił się ostrzejszych środków, wtedy przy każdej sposobności prasa republikańska kopała Gobleta, wołając że Waldeck musi naprawić zrządzone przez niego szkody. On znowu niezawsze pozostawał dłużnym odpowiedzi, a gdy mu do żywego dopieczono, co się dość często zdarzało, wybuchał w sposób niepohamowany i to właśnie zjednało mu opinję „rageura".

„Mały" adwokat z Amiens nie sprzeniewierzył się tej opinji bynajmniej i później, gdy po upadku Ferry'ego wstąpił ponownie do ministerstwa. Tym razem z obawy przed dziennikami oportunistycznemi oddano mu tylko tekę ministra oświecenia publicznego. Z rektorami i profesorami wychodził Goblet jeszcze dość znośnie. Ale departament jego obejmował także „sztuki piękne", tj. teatra, i tutaj zjadliwy *petit rageur* występował na pierwszy plan. Zaraz jak tylko odjął swój urząd, rozporządzeniem jednem wywołał formalny rokosz między aktorami Teatru francuskiego. Potrzeba było całej zręczności nowego dyrektora teatru Juljusza Claretі'ego, ażeby rokosz ten stłumić.

Niebawem znowu wpadł w scysję z Emilem Zolą, zakazawszy przedstawienia sztuki jego „Germinal". Ostatecznie Zola przeparł swoje, ale dzisiaj jakże byłby pewno ministrowi wdzięczny, gdyby był zakaz utrzymał i w ten sposób uchronił autora od sromotnego upadku. A także z „bookmakerami" miał p. Goblet później, gdy znowu został ministrem spraw wewnętrznych iście homerowską awanturę. Postanowił on był sobie oczyścić tory wyścigowe do tej zgrai wyzyskiwaczy i chciał pokazać, że na wszystkie ich najprzebieglejsze sztuczki i finty, zapomocą których oni obchodzą zakaz zakładów na torze, on znajdzie także sposoby. Wezwał więc urzędników policyjnych do najsurowszej baczności i tak się stało, że daleko ciekawsze gonitwy odbywały się za graczami wpośród publiczności, aniżeli między końmi na torze. Ostatecznie „bookmakery" zamęczeni prawie na śmierć musieli ustąpić, a wszystkie zakłady praktykowane na wyścigach zmonopolizował totalizator zostający pod kontrolą państwa. Wprawdzie wkrótce potem „bookmakery" zacierali ręce z radości, gdy ich zajadły wróg, obdarzony wotum nieufności w izbie, ustąpić musiał. Ale radość ich nie trwała długo, niebawem bowiem wstąpił mały adwokat znowu do gabinetu, a to w charakterze ministra spraw zewnętrznych. Goblet zawziął się, ażeby tę właśnie tekę uzyskać koniecznie, bo chciał wykurzyć p. Flourensa, któremu nie mógł darować jednego artykułu w *Figarze*. A ponieważ potrzeba było p. Gobleta mieć w gabinecie, musiał p. Freycinet poświęcić Flourensa i — mały adwokat postawił znowu na swojem.

Postać małego adwokata odpowiada zupełnie jego temperamentowi i zawodowi. Jest to starannie ogolony, dobrze odżywiony i nadzwyczaj czysto ubrany adwokat prowincjonalny, z charakterystycznemi „kotletami" na wyrazistej, uroczystej, pulchnej twarzy. Nie można mu odmówić daru wymowy. Mówi z pewnym patosem i dosyć cięte; kiedy się zapali, wtedy przez czoło p. Freycineta przebiegają głębokie zmarszczki, p. Flequet wybija nerwowymi palcami na swoim pulcie marsz jeneralny, a cały gabinet drży ze strachu, ażeby go bystry konik pikardyjski nie poniósł nad brzeg przepaści... Ale na polityce zagranicznej rozumie się p. Goblet tyle, co na chińskim języku. W republice uchodzi to jednak, bo republika właściwie mówiąc żadnej zagranicznej polityki nie prowadzi. Zna on jednę tylko tezę i regułę, oto, że należy płaszczyć się przed Rosją i czekać rozkazu z Petersburga. Po za tem nie zna nic więcej i o nic więcej nie dba. A dla tak prostej tezy wystarczy nietylko prowincjonalny adwokat, ale mógłby tę samą rolę spełniać pierwszy lepszy woźny kancelaryjny.

Jako szczegół charakterystyczny dodam jeszcze, że p. Goblet nietylko nie odbywał żadnych studjów dyplomatycznych, nietylko nie przeszedł całej karjery dyplomatycznej, nietylko nie studjował historji dyplomacji, nietylko nie zna ani w szczególe, ani w ogóle całego tego ogromu nauk, które do spełnienia funkcyj dyplomatycznych są potrzebne, ale nawet nie posiada żadnego języka, nie podróżował po za Francją i Szwajcarją nigdzie, na żadnym europejskim dworze nigdy nie był, żadnego z panujących, z kanclerzy i z ministrów europejskich nie zna osobiście, ekonomicznych, przemysłowych, kulturalnych, towarzyskich i socjalnych stosunków żadnego z państw europejskich nigdy nie badał, a jeografię posiada w tym stopniu co każdy zwykły Francuz.

To też w gmachu ministerjum spraw zewnętrznych na Quai d'Orsay opowiadają sobie o nim tysiące anegdot, jedne komiczniejsze od drugich.

Kwestja następstwa tronu w Abissynji.

W Abissynji panuje teraz król Jan, który do niedawna miał jeszcze jedynaka syna, następcę tronu, Ras Area Selassi. Dzisiaj, według relacyj najsumienniejszych podróżników afrykańskich, Ras Area nie żyje, struto go bowiem. Jakkolwiek fakt ten sprowadza pewne kłopoty na kraj, nikt z jego mieszkańców nie będzie podobno rozpaczał z powodu śmierci następcy tronu. Czarni zarówno jak biali, mieli mnóstwo powodów do żalenia się na niego. Jakkolwiek młody jeszcze, bo liczył zaledwie 22 rok życia, posiwiał już był w występkach i zbrodniach. Niektórzy widzieli w nim już przyszłego Nerona, próż-

---

8)

Pierścionek stryja Karola

Obrazek z życia wzięty

napisał

Abgar-Sołtan.

(Ciąg dalszy).

— Niech żyje księga święta proroka! wiwat! alkoran — zawołał Stanisław, wychyliwszy duszkiem trzecią szklankę — precz smutek wszelki.

W tej chwili uczuł, że ktoś dotknął jego ręki, obrócił się i zobaczył Władzia, który nachylając się ku niemu szepnął mu do ucha:

— Ha! nie okpisz mnie Stachu... znamy się jak łyse konie... ty kochasz Olgę mój biedaku... cała ta szlachcianka to farsa... ty ją jednę kochasz.

Na te słowa Stanisław uczuł, że mu oko zwilgotniało, lecz zwyciężając swą boleść, wnet odparł mu tym samym głosem:

— Tak jak ty sparaliżowaną swą ciotuchnę, po której masz dziedziczyć... zresztą niech ci i tak będzie — i ścisnął mu tak silnie dłoń, że aż syknął Władzio z bolu.

Tymczasem rozweselona młodzież nie ustawała w żartach.

— A to numer — wołano ze wszech stron — na śniadanie do panny, a na wieczerzę do szlachcianki... konie pozajeżdżasz odwiedzając aż dwie dulcyneje... Ktoby się po nim spodziewał.

— Hej panowie! proszę o głos — mówił stanowczo mocno podrażniony Stanisław — jeżeli koniecznie wmawiacie we mnie te dwa wzniosłe uczucia, to bądźcież sprawiedliwymi i wypijcie zdrowie mego konia... mego nieocenionego Wampira, który obsługuje obie te namiętności... jedną platoniczną, a drugą erotyczną...

— Brawo! niech żyje erotyczno-platoniczny Wampir — wołali wszyscy i znowu kieliszki wypróżniły się do dna.

— Napełnijcie jeszcze raz kieliszki moi drodzy — przemówił pan Antoni, z trudnością na nogach się trzymając — musimy wypić jeszcze jedno zdrowie. Niech nam żyje jeździec, który na jednym koniu do dwu ołtarzy całopalenia wozi... niech nam żyje szczęśliwie... nasz nowy towarzysz... nasz Stach ukochany — i wziął go w objęcia, a wszyscy obecni cisnęli się do niego, uderzając kieliszkami o jego wypróżnioną już szklankę.

W tej chwili muzyka zabrzmiała, podochocona młodzież ruszyła hurmem do sali balowej. Stanisław został sam. Pragnął on winem zagłuszyć ból, który mu szarpał nerwy... ból straszny, niezmierzony, lecz pomimo tego, że wypił trzy razy więcej niż wszyscy jego towarzysze, pozostał jednak zupełnie trzeźwym... i upojenie nawet nie przychodzi na zawołanie... stał zadumany patrząc na dno wypitej szklanki, tylko służba krążyła w około niego przypatrując mu się z uśmiechem — wstyd go wziął.

Wyszedł do drugiego tuż obok położonego pokoju, tu znowu zupełnie inny uderzył go widok: kilkunastu mężczyzn siedziało przy pozsuwanych do siebie zielonych stolikach... i djabełek idzie w najlepsze, zbliżył się do stołu i zaczął się uważnie przypatrywać grze... Właśnie jeden z graczy, przegrawszy znaczniejszą stawkę, wstał i prawdopodobnie z wypróżnionym do dnia pugilaresem poszedł spać do gościnnych pokoi.

— Stasiu, siadaj na miejsce Eugenjusza — rzekł, wskazując mu miejsce gruby major — masz dziś ogromną szansę, wiedziałem, żeś wlał w siebie wiadro wina i prosto chodzisz, i tu powiedzie ci się na pewne... siadaj... wierz mi... mam doświadczenie.

Stanisław nie grywał dotąd, lecz w tej chwili uczuł jakiś szał, ogłuszający go... pragnął jak najżywszych wrażeń, by w nich znaleść zapomnienie... usłuchał rady majora i usiadł przy stoliku. Djabełek był ożywionym, fortuna toczyła się kołem, nie dając nikomu znaczniejszej przewagi, z przybyciem nowego gościa szansa się zmieniła. Staś grał... jak nowicjusz, niepatrznie, grał tak, że według wszelkiego prawdopodobieństwa powinien był przegrywać... wygrywał jednak... stos banknotów rósł przed nim.

— No patrzcie, co za ptaszek? — wołał stary major, — oto się przyczaił, ktoby się był spodziewał? potrzeba mi było licho zaczepiać, on nas wszystkich oporządzi.

Nie zważając na słowa błagalne majora, Stanisław wygrywał bez przestanku.

— Bój się Boga, chłopcze — ciągnął dalej stary przegrywając na ponitera sto rublówkę, — miej litość nad swą młodością, żadna najbrzydsza nawet, nie popatrzy na ciebie przy takim twoim szczęściu w kartach.

Ten smutny horoskop poskutkował widać bo Staś przegrał w tej chwili i zaczął już z mniejszem szczęściem ponterować drugim, wkrótce jednak szczęście jak by się od wszystkich odwróciło, wszyscy przegrywali po kolei do puli, która rosła z każdą chwilą i po dwu turach znowu zbliżała się do Stanisława. On wziął karty do ręki i patrzył na pana Apolinarego, który obliczał pulę.

— Dwa tysiące czterysta trzydzieści pięć rubli w puli, — wycedził przez zęby stary, rutynowany gracz, — piękny kosz, słowo daję!

— Cała pula, — zawołał głośno Stanisław, — zapanowała w koło stołu wielka cisza, na prawo, na lewo padły karty... król, dwójka.

— No, to chyba króla już nie znajdzie, — szeptano z cicha, podnosząc się z krzeseł, wszystkie głowy wyciągnęły się naprzód, wszystkie oczy skierowały w jeden punkt.. jedna... druga.. trzecia karta padła, grobowe panuje milczenie, raptem wszyscy jednogłośnie zawołali... król... król... Stanisław siedział, nie zdając sobie nawet sprawy z tego okrzyku, trzymał karty w ręku patrząc na otaczających go.

— No, oddaj karty sąsiadowi, — zagrzmiał major, — i zgartuj mamonę, bo już chyba nie ma między nami takiego głupca, któryby ci chciał dziś ponterować.

Potem gra szła już ospale, wkrótce dnieć poczęło, pozgrywani amatorowie gwałtownych wrażeń, jeden po drugim poopuszczali pobojowisko. Staś również wstał, zgarnął pieniądze do kieszeni i jak odurzony wyszedł do przedpokoju. Wszystko zwiastowało koniec balu, przez otwarte drzwi sali balowej ujrzał pannę Olgę tańczącą białego mazura z hrabią Arturem, chciał wejść do salonu, lecz w tej chwili ujrzał przed sobą swego kozaczka Jędrusia.

— Cóż tam z końmi, Jędrek? — zapytał machinalnie.

— Ta co by miało być proszę wielmożnego pana, już Hryńko zaprzęga, bo nie ma się czego trzymać, tak ciasno co aż strach... a nasz podżary wszystkie cudze konie pobił.

— Każ mu natychmiast zajeżdżać jak zaprzęgnie — przerwał zniecierpliwionym gestem Stanisław Jędrusiowe relacje.

— Słucham wielmożnego pana — odparł chłopak, obracając się na miejscu.

Wkrótce cztery skarogniade uwoziły zamyślonego i złamanego na duchu Stanisława.

VII.

On siedział, patrząc bezmyślnie na otaczające go szare pola tęsknym, jesiennym mrokiem ocienione, na stada wron i kawek, które jakby przeczuwając słotę, gromadnie się zebrały, obsiadając stary nadpruchniały krzyż przydrożny, patrzył na to żałobne ptactwo i czuł, że takaż chmara złowrogich drapieżników rozdzierała mu serce, myśl swobodną truła — chmara myśli gorzkich, beznadziejnych. Co mu pozostało na świecie? Najpiękniejsze dnie młodości przepędził nad księgami, w badaniach trawiących, w poszukiwaniach za palącami zagadnieniami wszechświata... absolutnej prawdy — nadaremnie; później zdawało mu się, że poranek wonny, że jutrzenka różowo zaświeciła mu, jako zapowiedź jasnego, niczem nie zmąconego dnia — przez całe życie. Otrząsł się był z pleśni, zapomniał o wątpliwościach, z żądzą młodzieńczą, z sercem nadziei pełnem, patrzył w ciemne, prześliczne oczy dziewczęcia, i one zastąpić mu miały wszystko na świecie... pogodziły go z życiem, a nawet cudnym, promiennym urokiem go otoczyły.

Tymczasem na żadnej najśmielszej hipotezie tak się nie zawiódł, jak na tych szafirowych źrenicach.. obiecywały raj... a zgotowały mu piekło, piekło ze wszystkiemi jego katuszami, męcząc go szatańsko. Czuł, że go siły opuszczają, że niezdolny już do walk i zawodów nowych, pragnął spokoju, spokoju choćby grobowego, mogilnego..... niczego nie pragnął, niczego od życia nie żądał — tylko spokoju.

Przymknął oczy i pragnął zapomnieć o całym świecie, o przeszłości i przyszłości, lecz nadaremnie, pomimo przymkniętych powiek stanęły mu wnet przed oczyma.... cudne jej szafirowe źrenice, namiętnie nań patrzące i czuł jej usta zbliżające się, łączące się z jego ustami.. wzdrygnął się gwałtownie, wyraz wstrętu i obrzydzenia wypiętnował się na twarzy i szepnął:

— I jakaż różnica między nią a temi, które za pieniądze swemi względami mnie obdarzały? żadnej nie ma. A jam ją tak kochał, tak ubóstwiał.... patrząc na nią, jam na nowo w istność białych, świętych aniołów uwierzył.... o! anioły, anioły — i zaśmiał się konwulsyjnie. Szybki dotąd kłus koni, zmienił się w trucht, który zwolna przechodził w stęp.

— A co tam Hrehorze? — zapytał woźnicę — czemu zwolniłeś?

— Czortowa debra, musimy jechać powoli.

— No to stań — zwolna mówił Stanisław — wysiądę i pójdę piechotą, ty zjedź i na moście poczekaj na mnie — wysiadł, a powóz potoczył się noga za nogą w dół.

(Dok. nast.)

nego a głupiego, niedostępnego dla żadnego postępu.

Był zaciętym wrogiem wszystkich Europejczyków, śmierć jego tedy można nazwać prawdziwem błogosławieństwem.

W skutek tej śmierci jednak staje na porządku dziennym kwestja następstwa tronu, nader kłopotliwa — a to z następujących powodów:

Dzisiejszy negus Jan nie jest jeszcze wprawdzie bardzo stary, zawsze jednak już niedaleki sześćdziesiątki. U największej liczby władzców afrykańskich, wieku stale oznaczyć nie można. Powiadają oni zwykle: „Urodziłem się wówczas, kiedy to takie a takie zdarzenie miało miejsce" — i z tego niech będzie mądry kto chce. Przytem, jeśli syna zamordowano w sposób skrytobójczy, któż może wiedzieć, czy ojcu nie grozi podobne niebezpieczeństwo? Negus Jan jest wdowcem od lat dwudziestu i ślubował nie ożenić się po raz wtóry. Wreszcie należy zrobić uwagę, że od długiego już czasu żaden z abissyńskich władzców nie umarł śmiercią naturalną.

Gdy więc negus Jan nie ma następcy, to w pierwszej linii uwaga powszechna zwróci się zapewne na Menelika, negusa królestwa Szoa. Jest on wnukiem Sahela Selassiego, potomka dynastji Salomońskiej, której jedna gałąź schroniła się do Szoa i aż do tego czasu piastuje tam godność królewską. Dla Europejczyków nie masz bardziej pożądanego kandydata do tronu abisyńskiego. Menelik jest przyjacielem europejskiej kultury, a szczególnie popiera usiłowania Włochów. Dzisiaj w skutek zdobycia kraju Harrar i prowincyj na południu od Szoa leżących jest on już prawie tak samo potężny jak negus Abissynji. Gdyby więc na niego padł wybór króla Jana, nie można wątpić, że potrafiłby poglądy swoje i sąprzeć i Abissynję otworzyć dla cywilizacji europejskiej.

Atoli być może, że w inną stronę zwróci się oko króla Jana szukającego dziedzica. I tak naprzód może wybrać Teblę Haimanot, negusa z Godjam. Jest to śmiertelny wróg Menelika. Że on ostrzy sobie zęby na dziedzictwo negusa Abissynji, to nie ulega najmniejszej kwestji, jak również i to, że z prawa najmniejszej nie może rościć do tego pretensyj. Nie wiele też widoków mają Ras Area, wuj dzisiejszego negusa Jana i syn jego znany wojownik Debeb.

Dalej w rzędzie pretendentów stoją synowie Teodora, zmarłego cesarza Abissynji, który skończył śmiercią samobójczą. Pozostawił on trzech synów: Alamayo (wychowany w Anglji i tam umarł), Meszesza (syn najstarszy jest dzisiaj gubernatorem w prowincji Quorra), wreszcie najmłodszy 21 letni książę, który przez jakiś czas bawił na dworze króla Jana.

Nareszcie mogliby być jeszcze pretendentami potomkowie „Atsów." Tak się nazywali dawniejsi cesarze Abissynji. Dzisiaj tytuł ten zarzucono, a zastąpiono go „negusem."

Podróżnicy dawniejsi Rüppel, Abbadie, Combes i inni widzieli starego żyjącego jeszcze wówczas atsę Sahata. Dinghel i Heuglin znali jego syna, nazwiskiem Asfa Wosen, który jednak żył bardzo skromnie w zaciszu i nie nosił już tytułu atsy. Jeden z dzisiejszych podróżników, Gerhardt Rohlfs zapewnia, że widział jego młodego syna, który go zapewniał, że ojciec żyje jeszcze.

Z powyższego przedstawienia wynika, że najwięcej szans ma Menelik, który pretensje swoje potrafi także w danym razie poprzeć i dostateczną siłą zbrojną. Podróżnicy afrykańscy utrzymują, iż byłoby do życzenia zarówno w interesie kraju jak i cywilizacji europejskiej, ażeby Menelikowi dostało się królestwo Abissynji.

Mały Fejleton.

Złudzenie.

Pewnego wieczora wrócił mąż do domu z zwojem nut w ręku i rzekł do swej pani:

— Po kolacji zagramy na cztery ręce.

— Cóż to masz nowego?

— Kupiłem „Romea i Julję." Znasz to?

— Znam, ale nie pamiętam, czy widziałam w teatrze.

— O, prześliczna opera. Przypominam ją sobie, jak jakiś pierwszy sen młodości, ale słyszałem ją tylko raz i to przed dwudziestu laty.

Po kolacji i ułożeniu dzieci do snu, kiedy uciszyło się w całym domu, zapalił pan mąż świece na pianinie. Położył nuty i przeczytał na pysznie litografowanej okładce: „Romeo i Julja."

— Jest to najpiękniejszy utwór Gounoda — rzekł — i nie zdaje mi się, ażeby był zbyt trudny.

Pani objęła jak zwykle prym i zaczęto. — D-dur. Cały takt. *Allegro giusto.*

— Ach, jakie to ładne, nieprawdaż?—mówi pan małżonek, po skończeniu uwertury.

— O tak! przyznaje żona, jakkolwiek z pewną rezerwą.

— A teraz przejdźmy do marsza, powiada on. Przepyszna rzecz. Przypominam sobie ten wspaniały chór.

Rozległy się tony marsza.

— Nie jest że to arcyświetne! — woła pan mąż z miną tryumfatora, jak gdyby sam stworzył „Romea i Julją."

— Mnie się zdaje, że to brzęczy jak blacha— odrzekła żona.

Mąż czuje się obrażony i dotknięty w swem znawstwie, szuka więc „arji do księżyca" — Po długiem przerzucaniu kartek natrafia wreszcie na jakąś wielką arję sopranową. To pewnie ona. I zaczyna znowu: Tram-tram tam tam tram tam— tak idzie w basie, który jest bardzo łatwy.

— Wiesz ty, że ta muzyka jest dość głupia, uważa żona, gdy skończył.

Mąż jest zupełnie pobity i przyznaje, że muzyka trąci katarynką.

— Właśnie, właśnie to chciałam powiedzieć — dodała żona.

— Dziwna rzecz, że Gounod mógł się tak wcześnie zestarzeć. Jeszcze przegramy tercet i kawatinę; przypominam sobie, że pani Michaeli śpiewała ją przecudownie.

Po tym ustępie mąż zirytowany naprawdę zamknął nuty, jak gdyby zamykał drzwi za dawno minioną przeszłością.

— Nie napijesz się herbaty? — zapytuje.

Siadają do stołu.

— To szczególne — zaczyna mąż znowu — nie myślałem, żebyśmy się tak prędko postarzeć mogli. Zestarzeliśmy się w istocie jak „Romeo i Julja". Pomyśl tylko. Dwadzieścia lat temu słyszałem tą operę. Właśnie wstąpiłem na uniwersytet, miałem przyjaciół, a przyszłość uśmiechała mi się tak pięknie i rozkosznie. Przypominam sobie jak często z Józiem szedłem do teatru. W kilka lat później posłyszałem „Fausta" i stałem się jego wielkim wielbicielem. „Romeo" przeszedł jednak wszelkie nasze oczekiwania, byliśmy formalnie oczarowani tą muzyką. Dzisiaj przyjaciela mego nie ma już na świecie... Jakże czas prędko mija, ani się człowiek spostrzeże. Wprawdzie widziałem jak zmarszczki dokoła moich oczu coraz to gęstsze się stają a włos na skroniach bieleje, ale ażebyśmy tak daleko już zaszli na drodze do cmentarza, tegobym nigdy nie przypuszczał.

— Ach tak mój przyjacielu, postarzeliśmy się, możesz to poznać po naszych dzieciach. I na mnie to widzisz, chociaż tego nie mówisz.

— Co też ty mówisz!...

— Wiem o tem, mój kochany, — mówiła żona dalej smutno przeciągając, — wiem, że staję się z każdym dniem brzydszą, że włos się przerzedza, i wkrótce zębów mieć nie będę.

— Ba, pomyśl tylko o tem, że nic nie trwa wiecznie, — przerywa mąż, — a teraz podobno ludzie starzeją się o wiele wcześniej aniżeli dawniej. W domu mego ojca grywano jeszcze Mozarta i Haydna, jakkolwiek ci mistrzowie dawno już byli zmarli. A dziś — dziś nam już Gounod wydaje się przestarzały. Jakże to straszna rzecz spotkać się w ten sposób z ideałem swojej młodości; jak to smutno wyznać że się postarzało.

Powstał i zasiadł na nowo do pianina. Znowu zaczął przewracać kartki, jak gdyby w biurku swem szukał pamiątek młodości, kwiatów zasuszonych, włosów, wstążek. Oczy jego przykuły się do czarnych nut, które na kształt maleńkich ptaszków po za kratami klatki to w górę wzlatują, to spadają w dół i wywodzą trele miłosne, śpiewy wiosenne... Ale ten widok dziś go wcale nie zachwyca, obcy mu zupełnie.

W pokoju rozlega się westchnienie jak gdyby z pustej całkiem piersi.

Nagle mąż wstaje i rzecze:

— Dziwna rzecz, że w tym wyciągu klawiaturowym brakuje wspaniałego prologu, o ile sobie przypominam z towarzyszeniem arfy i chórem, który tak się zaczyna.

I zcicha intonuje melodję, która zrazu wytryska jak strumyk górski ze szczeliny skał i coraz się wzmaga.

Oblicze mężczyzny rozjaśnia się, usta składają się do uśmiechu, zmarszczki znikają, a ręce opadają na klawisze, które wspaniałemi tony towarzyszą silnemi dźwięcznemu basowemu głosowi śpiewaka.

Żona budzi się ze smutnych myśli, z zwilżonemi od łez oczyma, słucha i pyta:

— Co to jest?

— „Romeo i Julja" nasz „Romeo i Julja"! — odpowiada małżonek, zrywa się i kładzie nuty przed żoną.

— Patrz! — mówi. — To był „Romeo i Julja" naszych wujów i ciotek, to nie był Gounod czytaj..., to Bellini! Ach, więc my się przecież nie postarzeli!...

Żona spogląda na bujny, lśniący włos swego męża, na gładkie czoło, płomienne oczy i woła:

— Ależ ty wyglądasz jak dwudziestopięcioletni młodzieniec, ty jakiś!...

— A ty, młodziutka panienka. Ach, że nas stary Bellini mógł tak przestraszyć. Od razu mi się zdawało, że tu coś nie wszystko w porządku.

— Ależ to ja pierwsza uważałam.

— Być może dla tego, żeś młodsza odemnie.

— Ależ przeciwnie, tyś młodszy.

I tak siedzą mąż i żona sprzeczając się i przekomarzając się ze sobą jak para dzieci i dziwią się, jakim sposobem widzieli siwiznę i zmarszczki, których wcale nie było.

* * *

Znałem obie ofiary tej anekdoty i mogę poświadczyć, że nie liczą jeszcze po lat czterdzieście, a wyglądają, jak gdyby mieli po lat dwadzieścia i parę.

Było to więc złudzenie zmysłów, wywołane przez partyturę, a zwodniczej potęgą tonów Gounoda może doświadczyć każdy, kto pójdzie słuchać „Romea i Julję" na scenie, jeśli Julję śpiewa prima donna, która skończyła pięćdziesiątkę.....

List do Redakcji.

Z powiatu Borszczowskiego 10 lipca.

Najstraszniejszemi wrogami życia i mienia ludzkiego są pożary, które nasz biedny kraj często nawiedzając tysiące ludzi na biedę i ostatnią nędzę skazują.

Przed 5ma tygodniami mieliśmy w naszej okolicy aż trzy pożary; dwa w niedzielę 27 maja r. b. z rana w gminie Piłatkowce, dokąd straż ochotnicza z Jezierzan na ratunek pospieszyła. Jednakże pożar ten przez członka tejże straży pana Oskara Parnasa właściciela Tarnawki i Piłatkowiec własną jego sikawką w zarodku ugaszony został, tak, że gdy straż z Jezierzan przybyła, już ogień był zlokalizowany, spłonęło tylko jedno obejście. Drugi pożar tego samego dnia w południe wybuchł w miasteczku Jezierzanach i objął od razu dwie szopy i jeden dom mieszkalny, w samym środku miasta, między najwięcej skupionemi budynkami mającemi słomiane dachy; straż Jezierzańska spiesznym ratunkiem potrafiła pożar zlokalizować i ugasiwszy trzy palące się budynki, nie dopuściła do dalszego rozszerzania się pożaru, chociaż już na sąsiednich budynkach na dachu ogień się pokazał, a przez strażaków na dachu siedzących ugaszony został.

Gdyby tych budynków, na których już był ogień, straż nie ocaliła, — to ponieważ w tem miejscu rozpoczyna się część miasta gęsto zabudowana, z słomianemi dachami i ze stożkami zboża, przeto pożar byłby rozszerzył się ku miastu i rynkowi, gdzie przy takiej posusze całe miasto spłonąć by mogło.

Przy tym pożarze odznaczyły się wszystkie trzy oddziały ratunkowe, dachowy, sikawkowy i ratunkowy, z ratunkowego oddziału dwóch strażaków skoczyło wewnątrz palącego się domu mieszkalnego, na którym już się był dach spalił, za niemi jeszcze kilku pospieszyło, wynieśli wszystkie rzeczy i kufer, w którym właściciel żyd całe swoje mienie około 1000 zł. schował, a które byłoby się spaliło. Odznaczyli się tu strażacy ratunkowi tak izraelici jak i katolicy.

Na drugi dzień powstał pożar w gminie sąsiedniej Łanowce i dwa budynki zniszczył. Straż Jezierzańska i tam na ratunek pospieszyła, a bliskość wody przyczyniła się do prędkiego ugaszenia ognia. W kilka dni potem wybuchł 4ty pożar w gminie Głęboczek, która własną sikawkę posiada. Kilku strażaków Jezierzańskich, którzy w pobliżu przy drodze robili, pośpieszyli natychmiast na miejsce pożaru i bardzo przyczynili się do ugaszenia go, szczególnie odznaczył się przy tem pożarze strażak Juljan Zakrzewski. Owinąwszy się mokrą płachtą skoczył w palący się dom i wszystko mienie tam znajdujące się wyratował, a potem tak samo owinięty płachtą mokrą skoczył między palące się budynki i zapobiegł dalszemu posuwaniu się pożaru, to też naczelnik gminy z kilku gospodarzami złożyli podziękowanie naczelnikowi tej straży p. Turskiemu.

Zawiązana straż ochotnicza pożarna w Jezierzanach z trzema oddziałami dachowym, sikawkowym i ratunkowym przez p. inżyniera Turskiego w r, 1887 zorganizowaną została na wzór straży ochotniczej lwowskiej, wyćwiczona została dobrze w swych czynnościach a p. Aleksander Piotrowski delegowany przez Związek straży ogniowych ćwicząc ją w Jezierzanach, dopełnił całkowitej jej organizacji, za co mieszkańcy tutejsi niniejszą korespondencją swą wdzięczność wyrażają Związkowi straży ogniowych i panu A. Piotrowskiemu.

Straż Jezierzańska była czynna w tak krótkim czasie od swego zawiązku w 20 tu pożarach, nawet do sąsiednich powiatów na ratunek śpieszyła, a ugasiła w samem mieście Jezierzanach 6 pożarów, zagrażających zniszczeniem całego miasta. Lecz najstraszniejszy wybuchł pożar w Jezierzanach dnia 26 czerwca tuż obok rynku, cztery domy od razu się zapaliły i to 3 ze słomianemi dachami a ogień szalał tak gwałtownie, że nic nie można było wynieść z domu. W jedynym domu gospodarz Bekcisicz chciał wynieść z żoną stół. Owóż ogień tak mocno ich poparzył, że nie mogą dotąd przyjść do siebie, szczególniej żonie opaliła się twarz tak, że cała opuchła. Pewna żydówka, która także chciała ratować swe rzeczy, poparzyła się także niebezpiecznie. Na szczęście straż ochotnicza Jezierzańska była w tej chwili w liczbie 14 ludzi na strażnicy zebrana, pospieszyła natychmiast z ratunkiem, w jednej chwili uratowała palący się dom Mendla mosiężnika i nie pozwoliła na dalsze posuwanie się pożaru; 5 minut zwłoki a byłby pożar posunął się na miasto, a przy tak strasznej posusze byłby wielkie spustoszenie wyrządził.

Nie idzie mi tu o chwalenie straży ochotniczej Jezierzańskiej, lub publiczne podziękowanie naczelnikowi jej p. inżynierowi Turskiemu za jego poświęcenie i pracę w zorganizowaniu tej straży, która dzisiaj posiada wszystkie przybory do gaszenia pożarów potrzebne, a to 2 sikawki, wozy pod narzędzia, wozy z beczkami na wodę, kompletne umundurowanie 36 strażaków, dużą nową strażnicę z wysoką wieżą obserwacyjną, a co wszystko z ofiarności chętnych ludzi uzyskano; ale idzie mi o pewne ustalenie przyszłości tak pożytecznej i z takim mozołem zorganizowanej instytucji, która bez stałych funduszów chromać by musiała, bo ofiarodawcy raz dadzą chętnie, drugi raz dadzą i skrzywią się, a trzeci raz wręcz oświadczą, że nie dadzą nic. Otóż sprawa straży ochotniczych powinna być przez kraj praktycznie traktowaną i wspieraną. Krocie wydajemy na pogorzelców, litujemy się nad nieszczęśliwymi, a o usunięciu przyczyn tego złego nie staramy się. Potrzeba więc, ażeby Sejm krajowy i Towarzystwa asekuracyjne, w których interesie straże pożarne pracują, pomyślały i stały byt tym strażom zapewniły, a pewnie kraj i mieszkańcy kraju wdzięczni im będą.

Do dobrze zorganizowanej straży ogniowej potrzeba:

1. Ludzi chętnych — tych w każdem miasteczku i wsi znajdzie osobliwie między rzemieślnikami, bo ci zawsze w domu pracują, więc w wypadku pożaru prędko do ratunku spieszą.

2) Sprawienie przyborów do gaszenia pożarów potrzebnych i ich utrzymanie w dobrym stanie.

3) Umundurowanie strażaków, aby im w czasie pożaru publiczność w pracy nie przeszkadzała.

4) Pobudowanie strażnicy z odpowiedniemi lokalami na pomieszczenie przyborów.

5) Utrzymanie jednego stałego rocznego strażaka trębacza, któryby w strażnicy mieszkał, przyborów pilnował, pożary z wieży obserwował, a w razie pożaru straż zwoływał i mieszkańców o pożarze uwiadomił. Mógłby być rzemieślnikiem, więc mniej by kosztował.

6) Fundusz na najem koni, gdy się dalej do pożaru jedzie.

7) Na ostatek starać się o stały żelazny fundusz, aby wszystko i straż samą w porządku utrzymać.

Straż jezierzańska posiada powyż wymienione warunki pod 1, 2, 3 i 4, potrzebuje tylko starać się o fundusz stały na utrzymanie swoje w przyszłości, gdyż wszystkie przybory, z dobrowolnych składek sprawione, zużywają się za każdym pożarem, a było ich już 20, bo na składki dobrowolne rachować nie można. A przecie ciągle krocie na pogorzelców co roku dawać trzeba. Lepiej więc straże ogniowe organizować i utrzymywać, a tem samem usunie się złe w zarodku. Dla tego też nasz Sejm krajowy i Towarzystwa asekuracyjne powinny gorliwie się zająć zorganizowanemi już strażami ogniowemi, stały byt im zapewnić, a nowe jak najprędzej organizować. — Ta sprawa nie cierpi zwłoki, aby to co już jest i tyle dobrego zdziałało, nie upadło, a nowe przez niedbalstwo i lekceważenie do skutku nie przyszło.

K. R.

Do Pp. Prenumeratorów.

Niektórzy nasi prenumeratorowie z ***prowincji*** *składają abonament na* ***Przegląd*** *to po trafikach to w Biurze Dzienników, to po sklepach rozmaitych, to powierzają swym znajomym, a potem udają się do nas z wymówkami, że dla czego* ***Przeglądu*** *nie posyłamy? — Dla tego żeśmy tego abonamentu nie otrzymali.*

Oświadczamy więc po raz już nie wiedzieć który, że prenumeratę ***na prowincję*** *składać należy* ***w Administracji Przeglądu przy ul. Sykstuskiej pod l. 45*** *i że tylko za złożoną prenumeratę w naszej Administracji odpowiadamy. Złożony zaś gdzie indziej abonament nic nas zgoła nie obchodzi i nie bierzemy na siebie żadnej za niego odpowiedzialności.*

Kronika.

Lwów, dnia 12 lipca.

Mianowania. Adjunkt c. k. szkoły weterynarji we Lwowie dr. Szpilman, został mianowany zwyczajnym profesorem tejże szkoły.

C. k. Rada szkolna krajowa zamianowała Alojzego Schaschka, tymczasowego nauczyciela szkoły męskiej w Białej; Jana Bierońskiego, tymczasowego nauczyciela szkoły wydziałowej w Wieliczce; Karola Rudnickiego, tymczasowego nauczyciela szkoły żeńskiej w Białej i Jana Dudzińskiego, nauczyciela szkoły męskiej w Białej, rzeczywistymi nauczycielami sześcioklasowej szkoły męskiej w Białej; Macieja Jamrogę, tymczasowego nauczyciela szkoły męskiej w Białej i Pawła Nowoczka, nauczyciela prywatnej szkoły w Węgierskiej Górce, stałymi nauczycielami młodszymi sześcioklasowej szkoły męskiej w Białej; Jana Broszkiewicza, nauczyciela szkoły męskiej w Kętach i Romana Dworzańskiego, nauczyciela szkoły męskiej w Białej, rzeczywistymi nauczycielami sześcioklasowej szkoły żeńskiej w Białej; dotychczasowe nauczycielki szkoły żeńskiej w Białej: Marję Barańską i Annę Ścisławską, tudzież tymczasową nauczycielkę szkoły żeńskiej w Białej Elżbietę Bukowską, rzeczywistemi nauczycielkami sześcioklasowej szkoły żeńskiej w Białej; Kazimierę Juszczakiewiczówną, dotychczasową zastępczynię nauczycielki w szkole żeńskiej w Białej, stałą nauczycielkę młodszą sześcioklasowej szkoły żeńskiej w Białej.

Walne zgromadzenie tutejszego Towarzystwa zaliczkowego odbędzie się w sobotę 14 b. m. o godzinie 4 z południa w sali ratuszowej. Na porządku dziennym wybory uzupełniające do Dyrekcji.

Radzca dworu Karasiński wyjechał do Wiednia, aby wziąć udział w obradach, które w ministerstwie spraw wewnętrznych toczyć się będą nad projektem do ustawy o wykupie prawa propinacyjnego w Galicji.

Galicyjski pułk piechoty Nr. 90, który uzupełnia się w Jarosławiu, opuścił 10 b. m. Wiedeń przenosząc się do Galicji.

Z Uniwersytetu Jagiellońskiego Pp. Cyryl Dolnicki rodem z Chyłczyc i Feliks Lic rodem z Wysoki w Galicji, otrzymali stopień doktora wszech nauk lekarskich; zaś p. Juljusz Aleksandrowicz rodem z Jordanowa w Galicji stopień doktora praw.

† Stanisław Janicki. Warszawska *Gazeta Polska* donosi o zgonie Stanisława Janickiego, młodego inżyniera polskiego, wielkich zdolności, współpracownika Lessepsʼa przy budowie kanału Suezkiego. Ś. p. Janicki już od dłuższego czasu złożony był ciężką chorobą, a we wtorek o godzinie 2 zrana zakończył życie.

Nekrologja. Zdzisław Wiktor Jaroszyński, agronom zmarł we Lwowie w 22 roku życia.

Stanisława Jamrógiewicz, córka kierownika gimnazjum w Sanoku, zmarła we Lwowie w 9 wiośnie życia.

Wydział tow. Bursy im. J. I. Kraszewskiego w Stanisławowie ogłasza konkurs na 40 miejsc płatnych, przeznaczonych dla biednych a zdolnych i pilnych uczniów szkół średnich i seminarjów nauczycielskich, bez różnicy wyznania. Podania nieostemplowane wnosić należy do zarządu Bursy im. J. I. Kraszewskiego w Stanisławowie, ulica Kręta l. 1, najdalej do dnia 25 lipca b. r. Do podań dołączyć potrzeba: 1) metrykę chrztu; 2) dokładne świadectwo ubóstwa; 3) świadectwo z ostatniego półrocza szkolnego, a względnie poświadczenie odnośnej dyrekcji, że uczeń złożył egzammin wstępny do szkoły średniej; 4) wrazie przerwy w nauce świadectwo moralności; 5) świadectwo lekarskie, że uczeń jest ze skutkiem szczepiony i że żadnej zaraźliwej chorobie nie podlega; 6) deklarację ojca lub opiekuna względem dopłaty miesięcznej, która w miarę zasobów bursy, a odpowiednio do świadectwa ubóstwa wynosić będzie od 3 złr. do 15 złr. miesięcznie. W wypadkach godnych szczególniejszego uwzględnienia, przyjmie Wydział ucznia bezpłatnie.

Koło literacko-artystyczne lwowskie instalowało się wczoraj w nowej swej siedzibie w gmachu Skarbkowskim w sposób bardzo wesoły i urozmaicony. O naznaczonej godzinie — w pół do ósmej z wieczora — salony Koła były już zapełnione kółkami płci brzydkiej, wśród których grupowały się nadobne kołeczka płci piękniejszej, liczące ogółem około 50 przedstawicielek. Sfery związane bliższymi stosunkami z światem literackim i artystycznym, oraz dziennikarskim, reprezentowane były bardzo licznie.

Wieczór rozpoczął się krótką przemową prezesa Koła p. Alberta Wilczyńskiego, który następnie ustąpił miejsca na estradzie p. Biernackiemu (Rodociowi) dla wygłoszenia wiersza okolicznościowego. Autor ze znaną prostotą formy przedstawia w tym wierszu gościom nowe apartamenty Koła, przypuszcza, że w nich pocznie się może jakie arcydzieło sztuki i tak kończy:

> Nad arcydziełem niechaj łamie głowę
> Ten, komu nieba udzielą natchnienia,
> Ja, radbym tylko, by to miejsce nowe,
> Skromniejsze nasze ziściło pragnienia.
>
> Więc najprzód wszelkiej dziatwie Apolina
> Życzę tak miłej jej sercu mamony:
> A mistrzom wista, taroka, domina,
> By wciąż zgarniali „ultima" i sztony.
>
> Wszystkim zaś życzę najwyższej pociechy:
> By nasze piękne, dobre, grzeczne damy,
> Nam, tu spełniane, odpuszczając grzechy,
> Tak nas kochały, jak my je kochamy.

67

RÓZIA.

POWIEŚĆ

przez

Zofję Kowerską.

(Ciąg dalszy).

Nazajutrz odebrała od Łosickiego list szalony; długie jego milczenie przerwał nareszcie potok słów, pisanych pod pierwszem wrażeniem, bez namysłu, bez wykwintów stylu, ale tchnących niepodobną do naśladowania siłą uczucia. Biedny student mówił o swej miłości wyraźnie, bez zastrzeżeń i osłon, z namiętnością, długo powstrzymywaną. Rózia poczuła, że w istocie była dla niego życiem, przyszłością, nadzieją, wszystkiem; że na jej jedno skinienie gotówby śmierć ponieść; że nie było dla niego na świecie nic, prócz niej. Siła do pracy, ufność w przyszłości, poczucie młodzieńczego zapału — to wszystko płynęło mu od niej. Odbierając mu siebie, zabierała mu życie. Uwierzyła, zrozumiała, że to było prawdą, że on tak czuł, jak mówił.

Więc kochał ją jeszcze ktoś na świecie, ktoś jej ufał i oddawał się jej bez warunków, bez zastrzeżeń!

Odpisała mu, że doznała w tych dniach wielkiej boleści, że potrzebowała ukoić żal w samotności, lecz że w następną sobotę drzwi jej znajdzie otwartemi dla siebie. Po wysłaniu odpowiedzi, odczytała znowu list Łosickiego. Żar jego miłości rozgrzewał w niej zastygłe na chwilę uczucie nadziei i ufności, czuła się mniej nieszczęśliwą. Rodzina jej własna wyrzekała się jej, ale miała wśród obcych choć jedno serce, na którem polegać mogła. Nie zdawała sobie sprawy z obowiązków, jakie nakładało na nią przyjmowanie wyznań Łosickiego, objaśnił ją dopiero nowy list jego, nie mniej jak pierwszy namiętny, w którym ofiarowywał jej swoję rękę. W czerwcu miał zdać ostateczny egzamin, a potem, gdyby jego aniołem być chciała, wyjechaliby do jakiego prowincjonalnego miasteczka, nieposiadającego lekarza; on pracowałby wytrwale i sumiennie na chleb powszedni dla nich obojga i mogliby prowadzić życie ciche, spokojne, szczęśliwe. Byłby jej sługą, jej własnością, którąby rozporządzać mogła, jakby chciała... On czuje, że obok niej powróciłyby mu siły i zdrowie.. Chorobą jego była nadmierna praca i osamotnienie serdeczne wśród obojętnych ludzi.

Ten list drugi przejął Rózię trwogą. Nie odpowiedziała na niego i czuła się jak zbłąkana wśród miotających nią, różnorodnych uczuć. Miała dla niego litość, niepozwalającą jej powiedzieć wyraźnego „nie" i pewien rodzaj fizycznego wstrętu, przejmującego ją dreszczem na myśl, by „tak" wyrzec miała. Poczęła spędzać bezsenne noce na rozmyślaniu, w którem przerzucała się z jednej ostateczności w drugą. To zdawało jej się, że mogłaby doznać ukojenia i może trochę smutnego szczęścia, gdyby zdołała swem poświęceniem uratować człowieka od śmierci i rozpaczy, to znowu chciałaby była na koniec świata uciekać od biednego suchotnika, zsiniałego, z rękami zimnym potem okrytemi. Wieczora sobotniego lękała się jak tortury, ale przeszedł on nadspodziewanie dobrze. Łosicki tak wymowny, gdy chodziło o słowo pisane, był wobec niej, jak dawniej, milczącym i nieśmiałym; zdobył się zaledwie na skąpą rozmowę o rzeczach zwyczajnych. Zdrowie jego było lepsze, odkąd nie potrzebował dawać korepetycji... Przepisywał dzieło Melickiego, co mu było łatwem i miłem zajęciem... Cisza, która w koło niego panowała była dla niego źródłem ciągłej roskoszy... Jąkając się wypowiedział na pożegnanie kilka przerywanych słów, w których Rózia domyśliła się wyznania, że myśl o niej, i ciszę i samotność mu zapełniała.

Przejścia i bezsenności dni ostatnich osłabiły biedną dziewczynę i twarz jej bladością powlokły. Nie mogła przyjść do równowagi wewnętrznej, pragnęła zmiany, czegoś, coby ją od natrętnych myśli oderwało; z zadowolnieniem przyjęła też propozycję państwa Jasiów pójścia z nimi na koncert sławnego artysty, skrzypka, na który bilety rozrywane były przez publiczność. Słuchanie takiego jak ten mistrza było dla miłośników prawdziwie niebiańską roskoszą; Rózia uczuła się porwaną zaraz przez pierwsze tony nieporównanej czystości i słodyczy. Prawie tchu jej brakło, słuchając; jej muzykalna dusza uleciała w jakieś nadziemskie krainy. Po skończonym pierwszym numerze, po hucznych oklaskach i wywoływaniu artysty, usłyszała jakiś szelest obok siebie. Obejrzała się, na niezajętem dotąd przy niej krześle, zobaczyła Rażyńskiego. Oczy ich spotkały się nagle i biedna dziewczyna poczuła tak wielkie zamięszanie, takie ściśnienie serca, że o panowaniu nad niem nawet myśleć nie mogła. Naprzód płomienny rumieniec, potem śmiertelna bladość okryła jej policzki. I on doznał prawie równie silnego wzruszenia, ukłonił się jej w milczeniu, potem patrzał na twarz niegdyś drogą, na spuszczone oczy i zakłopotanie, prawie z nieprzytomnością graniczące.

Drugi numer się rozpoczynał, — pieśń namiętna, która powoli znalazła drogę do ich uwagi. Obojgu im wydało się, że za jej pomocą przemawiali do siebie, że była ona obustronnem wyznaniem tęsknoty, żalu, miłości. Rózia pierwsza poczuła, że trzeba jej było oderwać myśl od mary dawnych nadziei, że musiała zapanować nad sobą. Usiłowała się uspokoić, rozmawiać swobodnie z panią Jasiową w antraktach, a gdy po skończonym koncercie Władysław podał jej w milczeniu rękę na pożegnanie, doznała chwilowego uczucia dumnej pogardy, które się odbiło w jej wzroku.

— Musiałeś się pan co najmniej zgrać w karty — mówiła Zenona do Rażyńskiego, który przyszedł do niej, pociągnięty pragnieniem usłyszenia imienia Rózi, choćby z nienawiścią wyrzeczonego i mówienia o niej, choćby miał odpierać kłamstwa i oszczerstwa.

— Żadną grą inną się nie zajmowałem, jak grą Sarasatego... ale masz pani słuszność, poniosłem tam porażkę...

— Tchniesz pan dzisiaj jakąś hamletowską melancholją.

— Zajmowała mię w tej chwili filozofja miłości... Myślałem, że można kochać wiele razy, ale, za każdym razem kocha się inaczej... Te uczucia nowe i odmienne, jakie wzbudzała dana kobieta, już na wieki do niej tylko należą... Jednej daliśmy namiętną ciekawość, szał zmysłowy; innej marzycielski kaprys wyobraźni; tej znowu miłość czystą, jak jej dusza, uszlachetniającą, jak wszystko, co od niej pochodzi, inna magnetyzowała nas oryginalnością swej dzikiej natury, — a jeszcze inną kochała nasza próżność jedynie.

— Pragnęłabym tylko znać adresa tych wszystkich pań — rzekła szyderczo Zenona.

— Ich adresa już nie potrzebne, bo stosunki z niemi zerwane, ale gdy przypadkiem spotka się jednę z nich, nagle powstaje w sercu już może nie miłość sama, ale tłum uczuć, który jej towarzyszył.

— Więc adres tej jednej, którą pan spotkałeś dzisiaj.

— Moje usta nie godne wymówić jej imienia.

— A może moje uszy usłyszeć go?

Rażyński zamyślony milczał chwilę, potem wstał i stojąc przed Zenoną, rzekł śpiesznie:

— Jak ona zmizerniała i pobladła od tego czasu...

— A, widziałeś pan różę i znajdujesz, że zwiędła... naturalnie, myślisz pan, że z miłości i tęsknoty.

— Czy ona jeszcze chora?

— Pan mnie się o to pytać przychodzisz? Idź pan do niej samej... Ta scena niepokoju o jej zdrowie tu jest zupełnie nie w miejscu, przez nią zaś będzie bardzo dobrze przyjętą.. ona lubi komedje! Ja, dzięki Bogu, mam nadzieję nie prędko ją zobaczyć... Już sam Miecio przekonał się, co to jest za intrygantka i zerwał z nią na dobre.

— Jakto, opuściliście ją zupełnie?

— Idźże pan co prędzej pocieszyć opuszczoną!

— Ach! gdybym miał prawo to uczynić!

— Siła przed prawem... uwielbienie jest siłą.

— Miecio, doprawdy tam nie bywa?

— Powtarzam, że przestała istnieć dla nas.

(C. d. n.)

Co prawda — życzenia nie zbyt wygórawane, jak na koryfeuszów duchowego postępu.

Nastąpiły produkcje muzykalne i wokalne. Kolejno wstępowali na estradę: p. Posselt skrzypek, pani Grek Stachowiczowa z deklamacją i sympatyczny pianista p. Wszelaczyński. Wreszcie p. Gustaw Fiszer, artysta dramatyczny, przedstawił się w roli dobrze znanego „Żeniaczkiewicza“.

Na zakończenie „Koło“ puściło się w ruch taneczny, który trwał do późnej godziny w nocy.

Poufne zgromadzenie nauczycieli lwowskich szkół ludowych odbyło się wczoraj w szkole im. Szaszkiewicza. Celem zgromadzenia były narady nad wniesieniem petycji do Rady miejskiej o podwyższenie płac nauczycieli. Petycję uchwalono i wybrano deputację, która wręczy ją prezydentowi miasta i ustnie ją poprze.

Nowa ustawa wojskowa. W sprawie nowej ustawy wojskowej, której projekt przedłoży rząd obu parlamentom na sesji jesiennej pisze *Montags Revue:*

„Jako główną zmianę, w czem różnić się będzie nowa ustawa od obecnie obowiązującej, jest to, że w niej nie będzie postanowienia o sile armji na stopie wojennej, gdyż i tak cyfra 800 000 ustanowiona w dawnej ustawie nie była w istocie rzeczywista, bo z rozmaitych przyczyn okazywały się zawsze luki uszczuplające tę cyfrę. W zamian tego cyfra rocznego kontyngentu rekrutów będzie znacznie podwyższoną, bo o 10.000 ludzi.

Pobór odbywać się będzie równocześnie do linji, rezerwy zapasowej i obrony krajowej. Popisowi wzięci do tych wszystkich kategoryj będą powołani do wymusztrowania, a rezerwiści zapasowi i należący do obrony krajowej będą powoływani co roku na trzytygodniowe ćwiczenia. Przez to zapobieży się dotychczasowej niedogodności, iż armja stała uzupełniając się z szeregów rezerwy dostawała dotąd ludzi zupełnie niewyćwiczonych. Przepisy o jednorocznych ochotnikach uległy również pewnym zmianom, które umożliwią dokładniejsze wykształcenia wojskowe ochotników“.

Nieśwież i zamek Radziwiłłowski Smutne wrażenie — pisze korespondent *Gaz. Warsz.* — sprawia widok dawnej stolicy ks. Radziwiłłów na przejeżdżających. Z jednej strony cały szereg niedawno spalonych domów, z drugiej rozsypujące się w gruzy całe dzielnice. Pożar wybuchł w Nieświeżu d. 6 czerwca b. r., a przy niesłychanie silnym wietrze szerzył się tak gwałtownie, że o stłumieniu go ani mowy być nie mogło. Począwszy od rynku w kierunku bramy Słuckiej spaliły się wszystkie domy od stawu, a nawet po drugiej jego stronie aż do granic miasta, gdyż wiatr przenosił palące się głównie przez całą rozległość obszernego stawu.

Przez lat już prawie sto ordynaci nieświezcy nie mieszkali w Nieświeżu. Ostatni ordynat z linji starszej, książę Dominik umarł we Francji, córka jego jedyna Stefanja, wydana za Wittgensteina, wniosła w dom mężowski wszystkie dobra allodjalne. Ordynacja, ograniczona do dóbr objętych aktem nadawczym z w. XVI, dostała się linji młodszej, berlińskiej, lecz i ta długo nie zaglądała do Nieświeża, zostawionego w cudzej administracji, przeniesionej w dodatku do Werek pod Wilno. Dopiero dzisiejszy ordynat, książę Antoni Radziwiłł, począł od lat kilku zjeżdżać corocznie z żoną do Nieświeża na parę miesięcy, a to spowodowało przynajmniej wyporządzenie zamku i grobów przodków ordynata.

Jakoż zamek, utrzymywany porządnie, jaśniej się zarysowuje wśród gruzów, a także kościół jedyny w Nieświeżu, niegdyś przez księcia Sierotkę dla OO. Jezuitów fundowany, obecnie odnowiony, wygląda jak szlachcic odziany porządnie wśród swojej braci w łachmanach. Mieści on w swoich podziemniach trumny wszystkich członków familji Radziwiłłów, począwszy od ks. Sierotki a obok niego spoczywa szlachcic Skorulski, który razem z księciem odbywał pielgrzymkę do Jerozolimy i z jego woli w tych sklepieniach pochowany. Podziemia te do niedawna opuszczone, niedawno dopiero odnowiono i trumy ustawiono w porządku.

Za czasów księdza infułata Dąbrowskiego, pomiędzy 1850 a 1860 r., był tu straszliwy bezład: ołowiane lub metalowe trumny zamieniono na drewniane, aby metal spieniężyć, urny, w których mieściły się wnętrzności nieboszczyków zabalsamowanych sprzedawano żydom na mieście, nawet szczątki bogatej odzieży zdzierano z trupów. Obecnie dzięki staraniom księżny, żony ks. Antoniego Radziwiłła, wszystko przywrócono do możliwego porządku, jakkolwiek śladów zniszczenia naprawić zupełnie niepodobna. N. p. książę „Panie Kochanku“ pozostał już w prostej, z desek sosnowych zbitej trumnie, do której przełożył go prawdopodobnie przemyślny zakrystjan z czasów księdza Dąbrowskiego, a ołowiana olbrzymia skrzynia, w której mieści się trumna ze zwłokami księżny Elżbiety, żony ks. Sierotki, zgnieciona, jakimś widocznie ciężarem, już pozostaje w takim stanie. Wreszcie tablice z napisami z trumien pozdzierano, ponieważ były srebrne. Nie uszanowano wierszowych napisów łacińskich Salomona Rysińskiego, znanych z resztą z broszury drukowanej w Lubczu: nie uszanowano podobnych napisów późniejszych. Srebro skusiło, a pomocników nigdzie nie zabraknie. Więc też dzisiaj już trudno dojść, kto w jakiej trumnie spoczywa.

Po słynnej Albie, pałacu, w którym rad przemieszkiwał ks. Radziwiłł „Panie Kochanku“ ledwie ślad pozostał. Wśród lasku o dwie wiorsty odległego od Nieświeża, a utrzymywanego bardzo starannie, poznać jeszcze można miejsce, gdzie się wznosiła Alba; pozostał dół, w którym były fundamenta murów i trochę gruzów cegły. Nieśwież przeżył już swoje świetniejsze chwile, przeżyło je zresztą i wiele innych miast.

O królu Milanie. Między licznemi pogłoskami, do jakich daje powód zatarg królewskiej pary serbskiej, krąży i to jeszcze, że król Milan zamierza ożenić się z jedną z sióstr cesarza Wilhelma.

Co to jest cywilizacja? Humorystyczny kronikarz *Nowego Wremienia* zadał sobie to pytanie i aby je rozwiązać, czytał rozmaite dzienniki. Po długiem czytaniu i zbadaniu ducha rozmaitych pism, przyszedł do przekonania, że według

Timesa: „Cywilizacja to gorliwa obrona interesów handlu i przemysłu angielskiego we wszystkich częściach świata, a przedewszystkiem w Indjach i w Egipcie“;

Figaro: „Cywilizacja to zwycięztwo dobrego gustu i smaku nad teutońską brutalnością, czyli innemi słowy zwrot Alzacji i Lotaryngji jej prawym posiadaczom. Vive Boulanger!“

Riforma rzymska: „Cywilizacja to jeżeli ktoś *con gentilezza* mówi drugiemu „weź! — i daje!“

Pester Lloyd: „Cywilizacja to wyrugowanie Rosji z półwyspu bałkańskiego“.

Norddeutscherka: „Cywilizacja to wbrew twierdzeniom dyplomatów starej szkoły, mądra zasada *do ut des* z poprawką tą, że *des* samo, bez *do*“.

New-York Herold: „Cywilizacja, to wyraz o 11 głoskach, używany rzadko, bo za długi, a w XIX wieku nie ma czasu na wymawianie długich a pustych wyrazów“.

Tarik stambulski: „Cywilizacja jest to nowe europejskie pojęcie wyrażające tę czynność, kiedy z jednego wołu zdzierają dwie skóry“.

Journal de St. Pétersbourg: „Cywilizacja to wszystko to, co robi dyplomacja“.

Czas: „Dyplomacja często nadużywa wyrazu „cywilizacja“, ale dobrze zrozumiany ten wyraz, oznacza przywrócenie tego wału ochronnego, który ongi strzegł Europę przed barbarzyństwem“.

Humorysta *N. W.* nie wysnuwa żadnego wniosku z tych definicyj, ale przyzna zapewne, że polska definicja jest najmniej zabórczą.

Z obozu strejkujących przynosi jedno z porannych pism tutejszych szczegóły, które — jeśli choć w połowie są prawdziwe—świadczą wymownie, że bezrobocie naszej czeladzi piekarskiej nie wywołała potrzeba polepszenia sobie bytu i usunięcia trudnych warunków pracy, wymaganych przez pryncypałów, ale zorganizowała je wprawna ręka agitatorów i ona niem dalej kieruje. Wskazuje to organizacja strejku, obmyślana z góry do najdrobniejszego szczegółu i środki pieniężne, któremi kierownicy bezrobocia rozporządzają. — Pozostawiając reporterowi owego porannego pisma całą odpowiedzialność za podane przez niego wiadomości z obozu bastującej czeladzi i nawet przyznając się, że nie możemy dać wiary w istnienie takich ludzi, jakich odmalował autor w owej notatce, podajemy ją tutaj w całości:

„Strejk obecny różni się od poprzednich tem głównie, iż robotnicy gremjalnie opuścili miasto i przenieśli się za rogatki. Oczywiście w ten sposób strejk może trwać daleko dłużej, gdyż nawet ci, którzy mieliby nawet ochotę wrócić do pracy i zerwać solidarność znajdują się pod pewną presją, chociażby tylko moralną.

Tak więc piekarze lwowscy przenieśli się do Lisienic i tam pozostają do tej chwili. Mnóstwo Lwowian składa im tam wizyty, a gdy ogół ciekawy jest, jak też się tam powodzi fabrykantom rozmaitego pieczywa, postaramy się choć w krótkości dać obraz obozu strejkujących.

W lesie lisienickim tuż obok browaru, znajduje się polana. Tutaj widnieje mała drewniana budka, mieszcząca wyszynk piwa i wódki, a na około ustawione są stoły i ławki. Miejscowość ta znaną jest zresztą Lwowianom z licznych wycieczek, jakie corocznie tam się odbywają.

W chwili, gdyśmy tam przybyli — była to godzina 4 popołudniu — odbywał się objad. Czeladnik piekarski, Dydykiewicz rozdzielał spore kawałki chleba i po parze kiełbasek. Jako dodatek otrzymał każdy kieliszek wódki albo pół litra piwa. Rozdzielanie jedzenia odbywało się w największym porządku, gdyż podług spisu, odczytanego przez pomocnika p. Dudykiewicza. Po objedzie otrzymują strejkujący porcję tytoniu i rozpoczyna się zabawa tańcująca. Nie brakuje tam kobiet; są to żony, córki, lub narzeczone piekarzy, z któremi czeladnicy i uczniowie tańczą zapamiętale przy odgłosie ręcznej harmoniki i tamburina.

Muzykantami są także piekarze.

Zabawa ta trwała aż do wieczora, przerywana od czasu do czasu poufnemi naradami w sprawie strejku.

Największy ruch panuje oczywiście w chwili, gdy delegaci wracają z miasta. Jeden z tych wyłazi na stół, wszyscy go otaczają, a po wysłuchaniu propozycyj majstrów wszyscy wołają razem: „Nie zgadzamy się!“

Z polanki prowadzi przez las droga do wielkiej szopy, mogącej pomieścić około 300 do 400 osób. To jest sypialnia, za posłanie służy słoma i siano. I tutaj znajdujemy kilka stołów, w kątach zaś poustawiano kilka — niestety próżnych już — beczek z piwa.

Na około tego obozu poustawiane są czaty, które pilnują, ażeby z obozu nikt się nie wydalił i ażeby do środka nie dostał się ktoś „niepotrzebny“. Czaty te co kilka godzin się zmieniają, a jedyną bronią tych wartowników jest — potężny kij.

Po obiedzie następuje kolacja, poczem wszyscy udają się na spoczynek. Słowem, między strejkującymi panuje jak najlepszy duch i ochota, są oni silnie przekonani, że ostatecznie polepszą swój byt.

Niektórzy z czeladników, biorących udział w strejku, odznaczają się niezwykłą zapamiętałością. Oto, cośmy się dowiedzieli: Jednemu z nich doniosła żona, że dziecko jest umierające i lada chwila skończy:

— Niech ginie! — woła ojciec — ja się ztąd nie ruszę.

Drugi znowu otrzymuje wiadomość, że żona ma zostać niebawem matką:

— To mnie nic nie obchodzi! — brzmiała odpowiedź męża.

Czy są to objawy dodatnie — wątpić należy, wskazują chyba tylko na niezwykłą solidarność.

Wśród strejkujących — jak to już zaznaczyliśmy — znajdują się także uczniowie, liczący nie mniej nie więcej, jak 30—42 lat wieku. Dla czego nie zostali oni wyzwoleni, trudno pojąć; spodziewamy się jednak, że władza przemysłowa tę tajemnicę wyjaśni.

Na zakończenie naszych spostrzeżeń dodać winniśmy, że gdy zwracano uwagę czeladników, iż strejk długo trwać nie może, odezwały się głosy: „Mamy 2.000 złr.!“

Walne zgromadzenie pryncypałów piekarskich, zwołane na dzisiaj rano do sali ratuszowej zagaił przewodniczący korporacji p. Kalnicki, konstatując obecność 40 koncesjonowanych piekarzy, i przedstawił żądanie strejkującej czeladzi. Wymaga ona przez obecnych na zgromadzeniu delegatów, aby pryncypałowie przez jawnie w obec publiczności i władzy przemysłowej powziętą uchwałę zobowiązali się solidarnie:

1. Że ograniczą dzienną pracę towarzyszy piekarskich na 12 godzin;

2. że za tą liczbę godzin pracy płacić będą robotnikowi wypiekającemu bułki po 2 zł., wypiekającemu chléb po 1 zł. 80 ct.

3. że odpoczynek niedzielny będzie ustanowiony na czas od godziny 6 rano w niedzielę do godziny 5 z rana w poniedziałek.

Nad temi żądaniami przeprowadzona rozprawa obracała się ustawicznie około tego, że wedle ustawy przemysłowej ani ograniczenia godzin dziennej pracy, ani długości odpoczynku, ani wreszcie oznaczenia cennika pracy zgromadzenie uchwalać nie może. Podnoszono, że ustawa przemysłowa w przedsiębiorstwach które nie są fabrycznemi, nie zna ograniczenia godzin dziennej pracy; że podług ustawy przemysłowej wypoczynek niedzielny winien się rozpoczynać od godziny dwunastej w południe w niedzielę, a trwać do wczesnych godzin porannych w poniedziałek; i że oznaczenie jednakowej płacy dla wszystkiej czeladzi, bez względu na uzdolnienie i pilność każdego nie jest możebnem w praktyce, a dopłacanie robotnikom za godziny nadobowiązkowe (ponad 12 godzin na dobę) działałoby demoralizująco na czeladź, bo niesumienny i leniwy czeladnik przeciągałby umyślnie robotę, aby otrzymać dodatkowe wynagrodzenie za godziny nadobowiązkowe.

Mimo przemówień radzcy Strzelbickiego, który wzywał zgromadzonych, aby zgodzili się na postulata bastującej czeladzi, i po wyjaśnieniach danych przez p. Nawratila, inspektora przemysłowego, co do postanowień ustawy przemysłowej, z którą stoją w sprzeczności żądania czeladzi, zgromadzeni pryncypałowie znaczną większością odrzucili te żądania.

Tak więc nie przyszło znów do dobrowolnego porozumienia między stronami wojującemi, i łatwem do przewidzenia, że do tej zgody wcale nie przyjdzie. Obecnie więc władze mają nie tylko obowiązek, ale stoją pod przymusem konieczności wkroczyć z całą surowością w tę sprawę i używając środków dozwolonych ustawami przerwać istnienie bezrobocia, szkodliwego ludności miasta, a jeszcze może szkodliwszego w następstwach przez zły przykład dany innym kategorjom robotników rękodzielniczych.

Minister dworu szacha perskiego. W tych dniach przejeżdżał przez Warszawę Anatol wicehrabia de Baucheron, świeżo przez szacha perskiego mianowany ministrem dworu. Matka dostojnika perskiego była Polką, z domu Łojewską.

W czasie podróży szacha po Europie towarzyszył mu wicehrabia do Boucheron jako przewodnik i odprowadzał władzcę Iranu aż do Teheranu, stąd jednak z powodu intryg dworskich musiał niebawem wyjechać.

Szach tęsknił później za swym ulubieńcem i nieraz wzywał go do powrotu, lecz wicehrabia stanowczo odmawiał. Teraz, otrzymawszy nominację na ministra dworu, zgodził się wyjechać do Teheranu.

Jestto młody człowiek, liczący 34 lat wieku, posiadacz znacznej fortuny, więc nie dla pieniędzy wyjeżdża on na dwór kapryśnego Nesr-Eddina.

Po drodze z Warszawy odwiedził p. Baucheron swego dziadka, p. Michała Łojewskiego, mieszkającego w Kowlu.

Człowiek bez pieniędzy. W demokratycznej Ameryce, w której wszystko zrównano, jest królem wszechwładnym i despotycznym pieniądz. Warto posłuchać, co demokratyczni Amerykanie mówią o ludziach pozbawionych tej mamony i „chimery“:

„Człowiek bez pieniędzy — woła amerykański *Głos wolny*, który ma wypisaną dewizę: „przez oświatę do wolności“ — jest to ciało bez duszy, jest trupem chodzącym, widmem obrzydliwem. Jego spotkanie jest żebrzące, jego obcowanie nudne, jego obecność ciężarem, gdy chce kogo odwiedzić, nie znajduje go w domu. Skoro otworzy usta, zdaje się, iż chce żądać pieniędzy. Jeżeli żartuje, jest niezgrabnym; opowiadając co, jest niesmacznym. Gdy się okaże poważnym, posądzają go o próżność; przybiera postać skromną, mają go za podłego. Potrzeba budzi go rano, samotność oczekuje go wieczór, a nędza towarzyszy mu wszędzie. Kobiety powiadają, że ma najgorszą figurę; mężczyźni, że słychać od niego jakieś zapowietrzenie. Kupcy mu nic na kredyt nie dają. Biedak ten żył, nic nie używszy; umiera bez pożałowania, grzebią go z litości.“

I to wszystko w demokratycznem piśmie amerykańskiem nie jest humorystyką, lecz filozoficznym poglądem!

Literatura i Sztuka.

* **Konkurs literacki.** Poznańskie Towarzystwo Przyjaciół Nauk ogłasza co następuje:

Otrzymawszy od Kuratorjum funduszów ś. p. Bredkrajcza kwotę 1.500 marek na rozpisanie konkursu literacko-historycznego, ogłaszamy niniejszem warunki i temata konkursu, za współdziałaniem wydziału literacko-historycznego nam przekazane.

Konkurs niniejszy obejmuje dwa temata i dwie nagrody:

1. Nagrodę 900 marek za najlepszą pracę literacko-historyczną p. t.: „Polskie pieśni kościelne, używane w kościołach katolickich od najdawniejszych czasów aż do końca XVI. wieku.“

W pracy tej winien autor podać: a) tekst oryginalny pieśni; b) źródło z którego czerpał; c) czas w którym pieśń ułożoną i rozpowszechnioną zostało; d) prócz tego wyszczególnić powinien, czy pieśń jest oryginalnym utworem lub też przekładem lub przeróbką z innych języków. W ostatnim razie winien podać w nagłówku tytuł pieśni obcej. e) Ilekroć w pieśniach zachodzą warjanty, winien o ile możności odtworzyć tekst pierwotny, a warjanty umieścić w przypiskach i objaśnić znaczenie starych, niezrozumiałych wyrazów polskich. f) Wydanego w ostatnim czasie kilkakrotnie Psałterza Kochanowskiego, autor uwzględniać nie potrzebuje, z wyjątkiem chyba tych psalmów, które lud powszechnie śpiewał i śpiewa. g) Melodje pieśni, dotąd przechowane, może autor umieścić w dodatku; nie jest to jednak koniecznym warunkiem konkursu.

Praca ta nie potrzebuje przekraczać 15 arkuszy druku w ósemce.

2. Nagrodę 600 marek za najlepszą monografją p. t. „Ks. Stanisław Grochowski (1540—1612), jego życie i pisma.“

W pracy tej winien autor podać: a) krótki rzut oka na epokę, w której Grochowski żył; b) życiorys poety, oparty na wyczerpującem i krytycznem zużytkowaniu źródeł, a mianowicie własnych pism Grochowskiego; c) rozbiór pism jego polskich i łacińskich, a mianowicie szczegółowy i systematyczny rozbiór utworów polskich, z dokładnem określeniem ich znaczenia i wartości literackiej; d) oznaczenie językowych właściwości tego pisarza.

Rozprawa obejmować powinna najmniej 10 arkuszy druku w 8 ce.

Współubiegający się o nagrody powyższe, powinni prace swe nadesłać do Poznania najpóźniej do d. 1 października 1889 pod adresem konserwatora Towarzystwa Przyjaciół Nauk, p. dr. Erzepki, w Poznaniu ul. Młyńska (Muzeum). Każda praca powinna być zaopatrzoną w odpowiednie „Motto“ oraz w kopertę zamkniętą, zawierającą nazwisko i adres autora, oraz to samo „motto“ na adresowej stronie koperty.

Rozpatrzenia i sądu prac nadesłanych podejmie się komisja znawców, powołana przez Zarząd Towarzystwa Przyjaciół Nauk w Poznaniu.

Prace nagrodzone pozostaną własnością autorów.

Wszystkie pisma polskie prosimy o powtórzenie niniejszego ogłoszenia.

Poznań, w lipcu 1888 r.

Zarząd Towarzystwa Przyjaciół Nauk Poznańskiego.
Hr. A. Cieszkowski. Hr. W. Benzesti rna-Engestroem. Dr. Witołd Milewski. Dr. W. Łebiński.

Część ekonomiczna.

= **Choroby stadne.** Od dnia 26 czerwca do 3 lipca rb. sprawdzono w kraju z chorób zaraźliwych zwierzęcych:

Zarazę pyskową i racicową u bydła w Repechowie (pow. bobrecki), w Lipicach (pow. drohobycki), w Czarnokońcach ad Mużyłowice (pow. jaworowski), i w Podliskach wielkich (pow. lwowski).

Zarazę wąglikową w Peczeniżynie (pow. kołomyjski) i w Busku (pow. złoczowski).

Świerzb u koni w Niebocku (pow. brzozowski), w Mielniku (pow. jaworowski) i w Wygodzie ad Łęki (pow. pilzneński).

W powyższym okresie czasu z chorób zaraźliwych zwierzęcych wygasły:

Zaraza pyskowa i racicowa w Dźwinogrodzie (pow. bobrecki), w Przyłbicach i Bruchnalu (pow. jaworowski) i w Czajkowicach (pow. rudecki),

Ospa owcza w Babińcach (p. borszczowski).

Świerzb u koni w Wyhudowie (p. brzeżański) i w Kluczowie (p. kołomyjski).

Zaraza wąglikowa w Wysowy (pow. gorlicki) i w Dulibach (p. stryjski).

Nosacizna u koni w Białobrzegach (p. łańcucki).

= **Nowa kolej lokalna** została koncesjonowaną. Jest nią linja z Preszowa do Bardjowa, a stamtąd do granicy galicyjskiej w powiecie krośnieńskim.

= **Wyrób wódki w Austro-Węgrzech** w kampanji roku 1887-88 został urzędownie obliczony na 137,236.893 hektolitrowych gradusów, z czego wyprodukowały Węgry 65,284.984, Austrja 71,951.909.

Wedle sposobu opłacania podatku gorzelnianego wyrobiono w Węgrzech:

Za podatkiem od produkcji	39,940.421
„ pauszalowanym	24.875.454
w drodze ugody	469.109
W Austrji:	
Za podatkiem od produkcji	25,355.315
„ pauszalowanym	46,284 606
w drodze ugody	311.988

Z powyższych zestawień widocznem jest, że wyrób wódki za opłatą pauszalową wynosił w Austrji 64 pc., a w Węgrzech 42 pct. z ogólnej produkcji, i że w Węgrzech przeważał wyrób za opłatą podatku produkcyjnego.

W kampanji roku 1886 87 produkcja doszła do 135,853.554 hektolitrowych gradusów, wzrosła przeto w kampanji roku 1887-88 o 1,383.339 hl. gt.

= **Sprawozdanie statystyczne** o dochodach kolei austrowęgierskich w miesiącu maju rb. wykazuje, że w porównaniu z miesiącem majem roku zeszłego wzrosły one o 1.350.777 zł.; gdy zaś przyrost dochodów w pierwszych pięciu miesiącach rb. w porównaniu z tym samym czasokresem roku zeszłego wynosi 3,528.897 zł., przeto przyrost za maj, który powinienby wynosić tylko piątą część ogólnego podniesienia się dochodów kolejowych, jest o wiele korzystniejszym, bo przekracza nawet dwie piąte ogólnego przyrostu.

W ilości przewiezionych osób tylko styczeń wykazuje większy wzrost ruchu, tj, 6.9 pct., inne zaś miesiące stoją znacznie poza ruchem w miesiącu maju, w którym — przy porównaniu z tym samym miesiącem roku zeszłego — ilość przewiezionych pasażerów wzrosła o 6.8 pct.

W ruchu towarowym miesiąc maj rb. stoi na czele przed poprzedniemi miesiącami z przyrostem ruchu o 8 pct., kiedy w tamtych obracał się przyrost między 4 9 a 6 6 pct.

Z kolei przecinających nasz kraj miały w maju rb. większe dochody koleje:

I węgiersko-galicyjska o	9930 zł.
Arcyksięcia Albrechta o	6375 „
Dolina-Wygoda o. . .	3506 „
Lwów-Czerniowce o . .	7857 „

Zaś mniejsze dochody miały koleje:

Karola Ludwika o	64.404 zł.
Sokal Jarosław o .	5.111 „
Kołomyja-Słoboda o	423 „

Ogółem biorąc, dochody naszych kolei w miesiącu maju były niższe o 42.270 zł. od dochodów w tymże miesiącu r. z.

Licząc pierwsze pięć miesięcy rb. w porównaniu z tymże okresem r. z., okazuje się że większe dochody w tym okresie miały koleje:

Arcyks. Albrechta o	19.801 zł.
Dolina-Wygoda o .	2.014 „
Lwów-Czerniowce o	34 451 „
Kołomyja Słoboda o	5.752 „

Zaś mniejsze:

I węgiersko-galicyjska o	55.428 zł.
Karola Ludwika o. . .	423.412 „
Jarosław-Sokal o . . .	52.855 „

Że przeto ogółem tych siedm linij kolejowych dało w tym czasie mniejszy dochód o 469.677 zł. niż w roku zeszłym.

Zestawiając dochody od kilometra, wykazują zwiększenie koleje:

Kołomyja-Słoboda o	18.2 pct.
Dolina-Wygoda . . o	10.9 „
Arcyks. Albrechta o	5.6 „
Lwów Czerniowce o	5.1 „

zaś zmniejszenie koleje:

Jarosław-Sokal o	33.6 pct.
Lwów Brody-Podwołoczyska o	18.5 „
I węgiersko galicyjska o . . .	18.4 „
Lwów-Kraków o	11.5 „

Wiedeń 10 lipca.

Brak ożywienia i ruchu, który objawiał się wczoraj, dziś wzmógł się pod naciskiem coraz większych realizowań, jakie przeprowadzała partja zwyżkowa, głównie w złotej rencie węgierskiej i w kredytach. Prócz tego trudność otrzymania gotówki i wysokie prowizje, od niej żądane, nie mogły ożywić ruchu i ustalić usposobienie zwyżkowe. Poczęło się ono przejawiać przed rozpoczęciem giełdy, lecz wnet umilkło w obec ogromnej podaży, z którą popyt nie szedł wcale zgodnie.

W skutek tego giełda berlińska, która z razu przesyła tu wysokie notowania, koło południa poczęła iść do odwrotu, i nie dopomogły nawet do podniesienia kursów wiadomości o przypuszczeniu do lombardowania rosyjskich papierów. Wiadomości te przyjmowano dość obojętnie, bo równocześnie obnoszono nowinkę o odroczeniu podróży cesarza Wilhelma do Petersburga i o zwłoce w wyjeździe ks. Bismarka na urlop.

Gdy zaś kursa z giełd zachodnich, a szczególnie z Frankfurtu, były również słabsze, więc i nasza giełda skończyła dzisiejszą swoją czynność dotkliwemi kursowemi stratami, w czem już dziś wzięły także udział papiery lokacyjne, które do wczoraj skutecznie opierały się zniżce. Prócz akcyj bankowych cofnęły się najsilniej obie renty złote i wspólna srebrna.

Przy zamknięciu notowano:

Kredyty austrjackie 308·70, węgierskie 300 25, anglobanki 108 75, uniony 204·50, bankvereiny 92 25, laenderbanki 217·50, ludwiki 209 75, czerniowieckie 216 50, renta papierowa 81·10, srebrna 82 10, złota austrjacka 112 40, 5% papierowa 96 60, złota węgierska 101·55, 5% papierowa 89 70. Ruble 1·18¼ — 1·18¾.

Telegramy „Przeglądu“.

Kijów 12 lipca. (pryw.) Metropolita Serbji Michał, przybył tu na uroczystość jubileuszową.

Berlin 12 lipca. Cesarski rozkaz gabinetowy postanawia, że komisja ustanowiona przez cesarza Fryderyka w celu wystawienia tumu w Berlinie ma niezwłocznie rozpocząć swe prace.

Rzym 12 lipca. Izba przyjęła prawie jednomyślnie postawiony przez Bonacciego (z lewicy) a przez Crispiego poparty wniosek o przejście do porządku dziennego, według którego Izba przyjmuje do wiadomości oświadczenie rządu o reformie prowincjonalnej i gminnej, i przystąpi do obrad na poszczególnymi artykułami projektu.

Paryż 12 lipca. Feliks Pyat zaniechał interpelacji w sprawie konfiskaty okólnika hr. Paryża.

Kiel 12 lipca. Według reskryptu cesarskiego z 8 b. m., wydane zostały specjalne rozkazy do szefa admiralicji w sprawie wyjazdu cesarza. Cesarz uda się dnia 14 lipca przed południem na pełne morze na pokładzie statku „Hohenzollern“, któremu towarzyszyć będą pierwsza i druga dywizja floty, tudzież flotylla łodzi torpedowych. Flotylla łodzi torpedowych powróci z Buelk do Kielu.

Nadesłane.

Kursa giełdowe.

Wiedeń 12 lipca, godzina 10 minut 40. — Kredyty austr. 308 20 — kredyty węgierskie 300 50 — renta wspólna pap. 81·— złota węgierska 101 75 — länderbanki 217.25 — anglobanki 109 25 — uniony 208.50 — Staatsbahny 231 30 — Karola-Ludwika 209.— Czerniowieckie 217.— — Vereiny 93.— — 5% węg. pap. ren. 89.80

Z zbożowych targów

12 lipca	Lwów	Tarnopol	Podwołoczyska	Czerniowce
Pszenica	6.20—6 70	6.——6.5	6 10—6 45	6·30—7.—
Żyto	4 40—4.75	4 15—4.55	3.80—4 20	.30—4 80
Jęczmień	4.——5.—	3.90—4 85	3 60—4.75	4.20—5 3
Owies	4.30—4.85	3.15—4.45	3.50—4.25	3.30—4.—
Groch	4.50 10.05	5.50 10.—	5.10 9 —	4.40 9.—
Wyka	4.50 5. -	4.30—4.75	4.50—5.10	4.10—4.8
Rzepak	9 50 10.15	9.50 10 5	9.— 10·4	9.50 10 10
Lnianka	—.——.—	—.——.—	—.——.—	—.——.—
Konic. czer.	24.—35·—	17 —36 —	28.—.33—	18.—34 —
Konic. biała	29.—30 —	30.—36.—	30.—36.—	—.——.—
Konic. szwed	30.—36 -	30 —35 —	28.—35.—	—.——.—

wszystko za 100 kilo netto bez worka.

Chmiel za 56 kilo loco Lwów zł. 15—55 nominalnie.

Nowy chmiel od — do — złr. za 56 kilogramów.

Okowita za 10·000 litr. proc. Lwów loco —·— do —·— **Wiedeń 12** lipca Pszenica 7 05 do 7 15 na jesień 7 40 do —·—. Żyto 5 75 do 5 85, na jesień 6 05. Owies 5 35 do 5 40, na jesień 5 60. do —.— Okowita 29 62 do 29 87. **Peszt** 12 lipca. Pszenica —·— do —·—, na jesień 7·13 do 7 15 Żyto —·— do —·—, na jesień —.— do —·—. Owies —·— do —·—, na jesień —·— do —·—. Okowita 29 — do 29 50 **Berlin** 12 lipca. Pszenica 166 — do —·—, na jesień 166 25, Żyto 125·— do —·— na jesień 131 75. Owies 116·75, do —·— na jesień 117 50 Okowita 33 — do —.—, na jesień 33 30.

Lwów Z Izby handlowej 12 lipca 1888.

1. Akcje za sztukę

bez kuponu bieżącego bez dywidendy:	płacą	żądają
Kolej galic. Kar. Lud. 200 zł. m. k.	208 —	211 —
„ lwow.-czer-jass. 200 zł. w. a.	216 —	219 50
Banku hip. galic. 200 zł. w. a.	275 —	279 —
„ kredyt. galic. 200 zł. w. a.	— —	216 —
2. Listy zastawne za 100 złr.		
Banku hyp. galic. 5 prc. w. n.	98 50	99 60
6% Listy zastw. Galic. Zakładu kredytowego ziemskiego 36 let.	— —	— —
Banku hyg. galic. 5 prc. 10% pr.	100 75	102 —
Banku krajowego 4½% w. a.	92 50	93 50
Tow. kred. galic. 5 „ „ „	100 70	101 70
„ „ „ 4 „ „ „	93 40	94 40
„ „ „ 5 „ „ „	100 70	101 70
„ „ „ 4 „ „ „	91 25	92 50
„ „ „ 4½% „ „	94 20	95 20
„ „ „ 4% „ „	89 40	91 —
3. Listy dłużne za 100 złr.		
G. Z. kr. wł. (d. 6%) 3% w likw.	— —	54 —
„ „ „ „ (d. 5%) 2½% „	— —	48 —
4. Oblig. za 100 złr.		
Indemnizacyjne galic. 5 prc. m. k.	103 25	104 50
Kom. banku kraj. 5 prc w a. I. em.	99 50	101 —
Pożyczka kraj. z r. 1873 6 prc w. a.	— —	105 —
„ „ „ 1883 4½% „	90 —	91 10
5. Losy.		
Losy miasta Krakowa	20 50	22 50
„ „ Stanisławowa	— —	35 50
6. Monety.		
Dukat holenderski	5.85	5.95
Dukat cesarski	5.88	5.98
Napoleondor	9.87	9 97
Półimperjał rosyjski	10.25	10.35
Rubel rosyjski srebrny	1·40	1·50
„ „ papierowy	1·17¼	1·19¼
100 marek niemieckich . . .	61.—	61.55 —

Pociągi kolejowe.

podług zegaru lwowskiego.

Przychodzą do Lwowa:

Z KRAKOWA: o godz 8 m. 50 rano poc. osob.
„ 4 „ 8 po poł. „ kurj.
„ 7 „ 15 wieczór „ mięs.
„ 9 „ 28 „ „ osob.

Z PODWOŁOCZYSK (na dworzec główny lwowski):
o godz. 3 m. 15 w nocy poc. mięs.
„ 2 „ 20 po poł. „ kurj.
„ 7 „ — wieczór „ mięs.

Z PODWOŁOCZYSK: (na dworzec Podzamcze):
o godz. 2 m. 38 w nocy poc. mięs.
„ 2 „ 8 po poł. „ kurj.
„ 6 „ 22 wieczór „ mięs

ZE STRYJA o godz. 1 m. 35 w nocy poc osob.
„ 8 „ 26 rano „ „
„ 8 „ 40 po poł. „ „

Z CZERNIOWIEC: o godz. 6 m. 40 rano poc. mięs.
„ 8 „ — wieczór „ posp.
„ 11 „ 6 „ „ mięs.

Z BEŁZCA: o godz. 5 m. 58 po poł. poc. mięs.

Odchodzą ze Lwowa:

DO KRAKOWA: o godz. 4 m. 20 rano poc. osob.
„ 7 „ 20 rano „ „
„ 2 „ 28 po poł. „ kurj.
„ 8 „ 30 wieczór „ osob.

Do ZIMNEJ WODY-RUDNO:
o godz. 4 m 4 po pop. poc. osob

DO PODWOŁOCZYSK (z głównego dworca):
o godz. 9 m. 52 pr. poł poc. mięs.
„ 4 „ 11 po poł. „ kurj.
„ 10 „ 35 wieczór „ mięs.

DO PODWOŁOCZYSK (z dworca Podzamcze:)
o godz. 10 m. 23 przed poł. „ mięs.
„ 4 „ 22 po poł. „ kur
„ 11 „ 5 w nocy „ mięs

DO CZERNIOWIEC:
„ 9 „ 20 przed poł. „ posp.
„ 9 „ 50 przed poł. „ mięs.
„ 10 „ 8 wieczór „ mięs.

DO BEŁZCA: „ 7 „ 49 rano „ mięs.

DO STRYJA: „ 5 „ 20 rano „ osob.
„ 10 „ 35 przed poł. „ „
„ 8 „ 10 wieczór „ „

2)

Rodzina Bouverie

POWIEŚĆ

przez

Mrs. Argles.

(Ciąg dalszy).

W ruchach miss Maturin odbiło się lekkie wachanie, pokonała je jednak, a zająwszy dawne miejsce zwróciła na siostrzenicę wejrzenie śmiałe, choć zupełnie spokojne.

— Dla czego chcesz mówić o przeszłości? — zapytała. — Czy nie lepiej zastanowić się nad życiem, jakie roztwiera się przed nami?

— Och, na to mam jeszcze dosyć czasu. Dziś pragnę koniecznie posłyszeć coś o mojej matce. Wszak dotąd na wszystkie me prośby odpowiadziałaś tak wymijająco, niewyraźnie, iż właściwie nic o niej nie wiem. Cóż więc dziwnego, iż przybywszy tu, do rodzinnego jej miejsca, o niczem innem myśleć nie mogę, zdaje mi się, że duch jej musi krążyć nademną.

— Cóż ja ci mogę o niej powiedzieć, moje dziecko, — tłomaczyła miss Maturin głosem, który mimowolnie ostrego nabrał dźwięku. — Życie w dziewiętnastej przecięte wiośnie, nie zostawia zazwyczaj trwałych śladów po sobie.

— Powiedz mi przynajmniej, — prosiło dziewczę pochylając ku ciotce złotowłosą swą główkę, — powiedz czy małżeństwo jej do szczęśliwych należało?

Napróżno miss Maturin starała się jakąkolwiek dać odpowiedź; kurczowo zaciśnięte usta odmawiały jej posłuszeństwa. Dla dziewczęcia chwilowa ta cisza wiekiem się wydawała, nie spuszczając też z rysów ciotki wielkich, siwych swych źrenic, podjęło powtórnie:

— Powiedz mi chociaż, czy była szczęśliwą?

— Zkądże ja to wiedzieć mogę? — odparła zimno. — Nie widziałam jej nawet owcześnie, bo jak wiesz byłam z wujem we Włoszech.

— A jednak spotkałyście się później, wtedy gdy mnie dziecinę swoję powierzyła tobie cioteczko.

Miss Maturin starała się z widocznym wysiłkiem woli zapanować nad wstrząsającym nią wzruszeniem.

— Matka twoja, Dolores, była konająca, a chwila to zbyt święta i ważna, aby ją na światowe marnować zwierzenia.

Dziewczę zamilkło, potem jakby idąc za wewnętrznym popędem, zawołało z wyrzutem:

— Ciociu, ty umyślnie nie chcesz mi nic powiedzieć.

— Zdaje ci się, moje dziecko.

— O, nie. Oddawna już zauważyłam, że nie lubisz mówić o mojej matce, ale dla czego? Czybyś... czybyś jej nie kochała.

Lica miss Maturin kredowa pokryła bladość.

— Może kocham ją zanadto, — stłumionym wyszepnęła głosem.

Dolores podniosła się żywo, a otaczając szyję ciotki drobnemi rączkami, zawołała z pieszczotą:

— O, przebacz, widzę iż bezwiednie boleść ci sprawiłam. Nierozważna, z okrucieństwem dziecka poruszyłam popioły przeszłości, zapominając iż umarli są dla nas świętością prawie.

— To nic; nie smuć się maleńka, ból wspomnienia przeszedł już zupełnie, — zapewniała miss Maturin, starając się własne opanować wzruszenie. — Masz jednak rację, nie mogę mówić obojętnie o twojej matce.

— A ojciec mój? — rzuciła Dolores lękliwie.

— Nie żyje, — brzmiała zimna odpowiedź. — Nie poruszajmy jednak zastygłych popiołów, niech umarli śpią w spokoju. Po co wskrzesać boleść minioną, gdy życie całe uśmiecha się do ciebie?

I rozgorączkowana własnym głosem, dodała gwałtownie:

— Wierzaj mi, Dolores, że widma przeszłości szczęścia ci nie przyniosą, nie staraj się więc wywołać ich. Myśl o wszystkiem, zajmuj się wszystkiem, niebem, ziemią, kwiatami, lecz nie przywołuj do życia tych, co dawno w dobroczynnej legli mogile.

— Najdroższa — mówiło dziewczę łagodnie — wierzaj mi, że nie chciałam sprawić ci przykrości. Powrót do kraju rodzinnego powinienby rozproszyć twe dawne smutki i cierpienia; tylko pozostańmy tu, ciociu, porzućmy tę nużącą wydrówkę po obczyźnie.

— I ja tego pragnę — wyznała miss Maturin, poczem jakby nagłą uderzona myślą dodała gwałtownie: — Oby nas tylko nic stąd nie wygnało, oby nam pozwolono wypocząć i zaznać choć trochę spokoju!

— Nie rozumiem cię, cioteczko — wtrąciła Dolores nieśmiało. — Wyrażasz się tak dziwnie, jak gdyby nam co groziło... Czy się co stało, najdroższa?

— Nic, dziecino moja... nic. Nie zważaj na mnie, maleńka... gdy ktoś dużo w życiu przecierpiał, temu w najpomyślniejszych nawet chwilach zabobonne czasem przychodzą obawy.

— Czy wszyscy na świecie muszą smutki znosić? — pytała Dolores z dziwną powagą w dziecięcych jeszcze rysach.

— Wszyscy; tylko że jednym zadają one ranę łatwą do zagojenia, drugim zaś zapuszczają w serce truciznę stokroć gorszą od jadu żmii... O, niech nikt nie mówi, że czas wszelkie łagodzi cierpienia; bo chociaż zaciera wspomnienie umarłych, to są jednak bóle stokroć nawet od śmierci gorsze.

W szeroko rozwartych źrenicach Dolores zabłysnął wyraz przestrachu.

— Cóż może być gorsze od śmierci? — zapytała zbielałemi usty.

— Hańba!.. Lecz słowo to nie powinno ci być nawet znanem, moje dziecię. Nie pozwolę, żeby cień sromu padł na młodziutką twą duszę. Wszak nie napróżno przez lat tyle chroniłam cię od niego.

Ostatnie słowa ze stłumionym wypowiedziane ogniem nie doszły na szczęście do uszu Dolores.

— Hańba — powtórzyło dziewczę z namysłem — jakże straszne to słowo musi ranić boleśnie!

— Ciebie nigdy ono nie dotknie.

— Wiem o tem, a jednak — dodała osuwając się na kolana i składając delikatne obnażone swe ręce — a jednak mówisz tak, cioteczko, jak gdyby tobie nieobcem było brzemię wstydu; w takim zaś razie... musiałby on i mnie dotyczyć koniecznie.

— Cóż znowu? — przerwała miss Maturin z bruzdą głęboką na czole. — Nie myślałam słów mych stosować do nikogo... Dajmy pokój osobistościom; a co do smutków, pamiętaj dziecię, że dopóki stara twa ciotka żyje, nie potrzebujesz się obawiać przelotnej nawet chmurki.... Życie uśmiecha się do ciebie, więc pełną używaj go piersią.

ROZDZIAŁ II.

— Zdaje mi się, że nowe nasze sąsiadki będą bardzo zajmujące — wygłosiła lady Bouverie, poruszając niedbale wielkim czarnym wachlarzem.

— To znaczy chyba, że są na pół dzikie lub posiadają nadzwyczajne przymioty prostym śmiertelnikom nieznane — zauważył młody człowiek, bawiący się z ogromnym terre-neuve'm, którego uszy szarpał nielitościwie. Drugi jego towarzysz, oparty o okno, zdawał się słów tych nie słyszeć nawet.

Ciężkie i parne popołudnie czerwcowe niekorzystnie usposabiało do rozmowy. Najlżejszy powiew nie ożywiał powietrza, palące zaś promienie słońca takim sypały żarem, że pod ognistem ich tchnieniem róże i wszelkie kwiaty bezwładnie opuściły główki.

— Miss Maturin wydała mi się zimną, lecz pełną arystokratycznej dystynkcji — ciągnęła lady Bouverie dalej. Bo też rodzina jej należy do tak starych, że na punkcie rodowodu nic im zarzucić nie można. Więcej oni liczą utytułowanych pokoleń niż zwykły dorobkiewicz lat swego życia.

— A czy miss Maturin wiele już narachować ich zdążyła? — wybiegło z pewną arogancją na usta młodego człowieka.

— Więcej od ciebie... to nie ulega wątpliwości. Jestto kobieta w średnim wieku.

— Och, niestety! Czyż wszystkie me słodkie nadzieje mają być okrutnie rozwiane? Czyż Opatrzność starą pannę zrobiła spadkobierczynią całego majątku, a opiekuńcze losy nie wymyśliły dla mnie żadnego zbawiennego warunku?

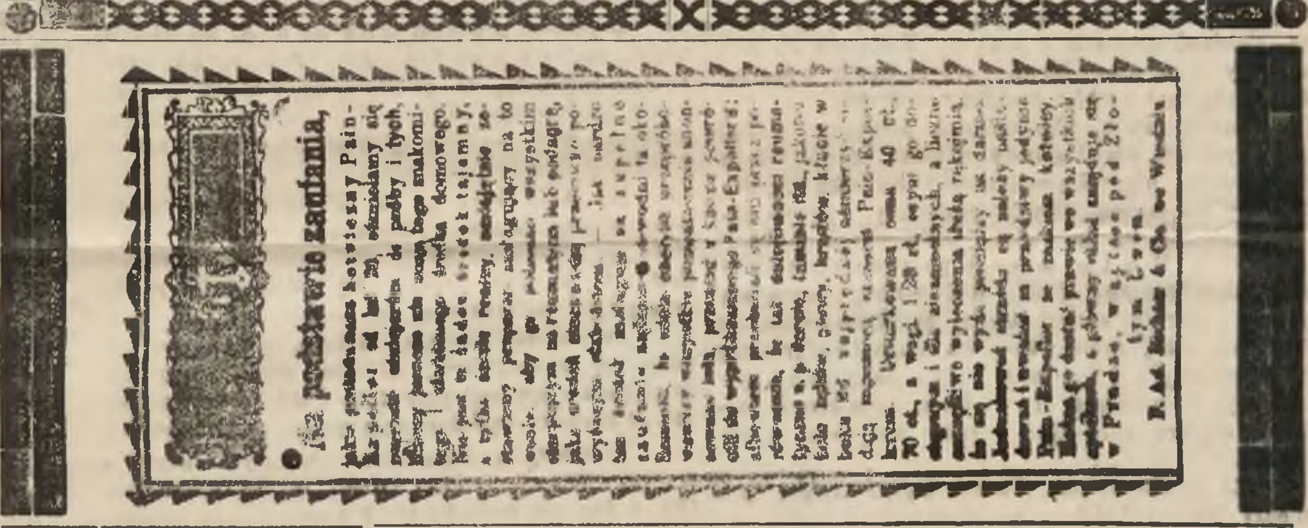
— Mój drogi Brunonie, proszę cię, przestań szarpać tego nieszczęśliwego psa za uszy — przerwała mylady gniewnie. — Co do miss Maturin, ma ona przy sobie siostrzenicę swoję, dziewczę czarowne, urocze, nieporównane. Onato właśnie jest bogatą dziedziczką, skoro dostanie po ciotce nietylko dobra tutejsze, ale i posiadłość na północy; to też podobała mi się niezmiernie."

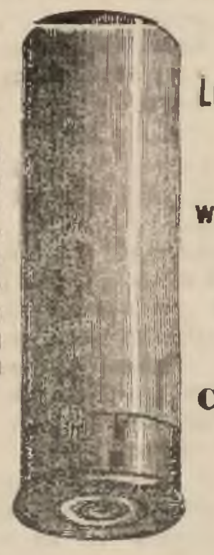
Przy ostatnich tych słowach oczy lady Bouverie zatrzymały się na starszym jej synu, który wychylony w połowie przez okno, zdawał się nie zwracać najmniejszej uwagi na rozmowę toczącą się dokoła. Obojętność ta gniewała ją widocznie; zmarszczywszy bowiem brwi, uderzyła z niecierpliwością nogą o posadzkę. Ostre jej przenikliwe oczy zabłysły równocześnie, nadając więcej jeszcze surowości rysom o wielkim orlim nosie i wąskich wargach. Typ to był w ogóle wybitny i odpychający zarazem. Wysoka postawa tchnęła dumą i chłodem wyniosłym, zaciśnięte usta zdradzały zaciętość, oczy zdawały się tak bezbarwne jak bezbarwnemi były zawsze uczucia mylady. Synowie z całej powierzchowności matki zachowali tylko wzrost dorodny, zarówno zaś młodszy Bruno jak starszy Ryszard pociągali męską urodą i sympatycznym jej wyrazem.

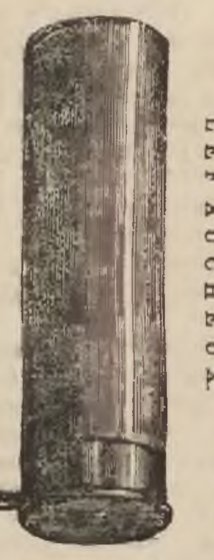
— Nie potrzebujesz mamo zapewniać mnie tak uroczyście — podjął Bruno dalej nić rozmowy. — Wierzę na słowo, że młoda nasza sąsiadka jest uosobieniem cnót wszelkich; gotówbym przypuścić nawet, że została wyłącznie dla mnie stworzoną. Piękna, urocza i bogata, sądzę że rozsądny człowiek nie powinien wymagać nic więcej

Zniecierpliwiona lekkomyślnością młodszego swego syna lady Bouverie pokrywając uwagę jego wzgardliwem milczeniem, zwróciła się wprost do starszego.

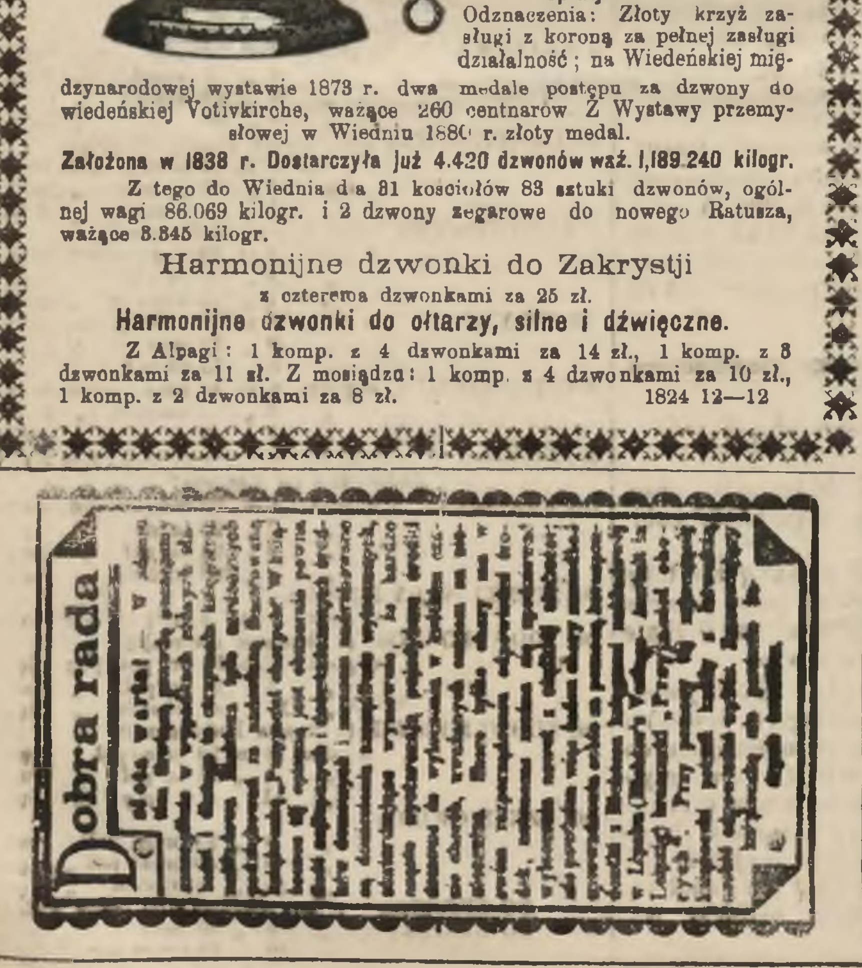
(C. d. n.)

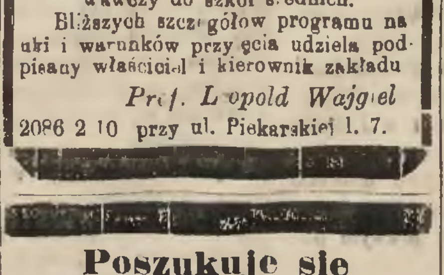












Anonse PP. Abonentów.

Które każdy abonent ma przywilej umieszczać bezpłatnie w objętości 12 wierszy miesięcznie.

Komisowe biuro W. Wereszczyńskiego ul. Krakowska l. 15 poleca uzdolnionych nauczycieli, guwernantki, bony franc. i Niemki (na czas wakacji) również oficjalistów wszelkiej kategorji, oraz maszynistów, gorzelników, rzemieślników i służbę dworską, przytem zawiadamiam, że mając liczne zgłoszenia na kupna i dzierżawy majątków, upraszam interesowanych o nadsyłanie do mego biura dokładnych informacyj wykazów i objaśnień z tychże. Wszelką korespondencję przeprowadzam bezzwłocznie.

Folwark w Przemyślu bardzo korzystnie położony, z dobremi gruntami i budynkami, z kamieniołomem wapiennym, dochodny zarobek końmi przy przedsiębiorstwach — jest z wolnej ręki wraz z inwentarzem żywym i martwym, jakoteż z krescencją do sprzedania. Zgłaszać się proszę pod adresą: R. M. poczta Czudec.

Pomocnik handlowy z dobremi świadectwami znajdzie umieszczenie w handlu Nowości i drobiazgowym Edwarda Schillinga we Lwowie, ul. Halicka l. 16.

Nauczycielka francuskiego języka dyplomowana, posiadająca język niemiecki poszukuje miejsca na wsi. Adres. E. D. W. Ważny, Lwów.

Uczeń siódmej klasy, z chlubnymi świadectwami, poszukuje lekcji w mieście lub na wsi za miernem wynagrodzeniem. Zgłoszenia proszę jak najrychlej nadsyłać do IV. gimn. we Lwowie pod adresem: H. G.

Do sprzedania majątek ziemski w okolicy Krosna w górskiem położeniu 225 morg. lasu wysoko piennego, z którego 68 morg. zrębu i 120 morg. gruntu ornego, budynki gospodarskie i dom mieszkalny w dobrym stanie Propinacja z trzema karczmami i młyn o dwu kamieniach. W promieniu jednego kilometra świeżo znaleziono bogate źródła nafty. Zgłosić się pod literami K. W. w Żołyni.

Do mego Aniołka.

Najdroższa! zapewniam Cię, że mimo największych cierpień, przeszkód i przeciwności, przenigdy dla Ciebie droga nie zmienię się, a tem więcej od swych zamiarów nie odstąpię, byle tylko Ty, moja Najdroższa pod wpływami i perswazjami więcej osób, nie zmieniła się dla mnie.

Najdroższa! bądź mężną i pozostań mi stałą — błagam Cię o to. Od przedostatniego i ostatniego widzenia się z Tobą Droga! jestem bardzo zmartwiony. Dokładny swój adres poszlij mi koniecznie i to jak najprędzej. Mój adres jest Ci wiadomy. Wiadomej Ci osobie dziękuję za łaskawe względy dla nas obojga, niech Jej Bóg stokrotnie wynagrodzi. Najdroższa bądź uważną i przezorną. Całując Cię po miljon razy proszę niezapominaj o wiernie i stale Cię kochającym

Fiołku.

Odpowiedzialny redaktor: Wacław Masłowski. Papier z fabryki Braci Fijałkowskich w Białej. Z drukarni nar. W. Manieckiego. — Zarządca: Walenty Hodak.